Japonia. — X. J. M. Corre, missyonarz apost. z Kumamoto w otoczeniu swoich katechistów.

Katechiści X. J. M. Corre w Kumamoto.

X. J. M. Corre, missyonarz apostolski z Japonii, przysyła nam następujące sprawozdanie z działalności katechistów, utrzymywanych kosztem kilku czytelników *Missyj katolickich*:

Sprawozdanie z działalności katechistów od dnia 1 sierpnia 1892 r. do dnia 1 sierpnia 1893 r.

W roku ubiegłym udało nam się pozyskać następujących sześciu katechistów: Suyeyoshi, Sugamura, Iki, Ito, Miura i Motoda.

Suyeyoshi pochodzi z dawnej chrześcijańskiej rodziny, osiadłej w prowincyi Hijen. Jak prawdziwy missyonarz opuścił strony rodzinne, aby się przenieść tutaj i rozpocząć nader gorliwą działalność, która przyczynia się nie mało do rozkrzewiania wiary. Od trzech już lat pozostaje na usługach missyi, w roku zaś ubiegłym zatrudnienie jego stanowiła nauka katechumenów z Kumamoto. Ilość tych ostatnich dochodzi do 50 osób, podzielonych na dwa oddziały, w chwilach zaś wolnych od nauki poczciwy katechista tłumaczy chętnie każdemu swemu uczniowi to, czego podczas lekcyi nie zdołał zrozumieć. Jestto prawdziwy profesor teologii, wywiązujący się wybornie ze swego zadania.

Sugamura i czterej inni jego towarzysze są rodem z Kumamoto, gdzie w ostatnich dopiero czasach się nawrócili. Polem działalności Sugamury było miasto Jatsushiro, leżące o 12 mil od Kumamoto. Niestety, gorliwe wypełnianie obowiązków wyczerpało jego siły i przyprawiło o chorobę, która na kilka miesięcy przykuła go do łoża. Cierpienia jednak biednego katechisty nie były bezowocne, kilku bowiem bliższych jego znajomych zgłosiło się do nas, oświadczając chęć przyjęcia katolicyzmu, za przykładem zaś ich pójdą niebawem i inni. Obecnie Sugamura ma się już zupełnie dobrze.

Iki jestto szlachcic wychowany na dworze książęcym w Kumamoto, Ito był przez czas niejaki nadwornym lekarzem tegoż samego księcia, Miura zaś jest synem byłego gubernatora, jednego z pomniejszych miast w naszej prowincyi.

Wszyscy ci trzej katechiści, to jest Iki, Ito i Miura mieszkają w Kumamoto, spełniając tam jednakowe obowiązki, które dają się określić kilkoma słowy. Polegają one przedewszystkiem na wyszukiwaniu wpośród licznej pogańskiej ludności osób, na któreby można rachować, i którym należy wyłuszczać główne zasady wiary, wyświetlać rozmaite wątpliwości i t. p., aby je następnie przyprowadzić do katechumenatu, gdzie dalsza ich nauka, jak to już wyżej powiedziałem, odbywa się pod kierunkiem katechisty Suyeyoshi. Nadto Iki, Ito i Miura muszą czuwać nad tem, aby wierni wypełniali sumiennie swoje obowiązki, odmawiali modlitwy poranne i wieczorne, w niedzielę i dni świąteczne słuchali Mszy św. itp. Słowem są oni jednocześnie katechistami, kierownikami chrześcijańskiej gminy i pomocnikami missyonarza, dzięki

zaś szlacheckiemu pochodzeniu, wywierają pomimo swego ubóstwa doniosły wpływ na rodaków i czynią wiele dobrego.

Ostatni z katechistów Motoda mieszka wraz ze mną, służąc mi zarazem za plenipotenta i sekretarza. On też przyjmuje osoby, przybywające w celu załatwienia spraw prywatnych, zawiera w mojem imieniu umowy z chrześcijanami i poganami, oraz codziennie odmawia modlitwy z katechumenami świeżo przybyłymi. Nie braknie mu więc pracy i trudów.

Oto, jak się przedstawia zakres czynności każdego z mych katechistów. Ogólnym wynikiem ich działania jest około 200 nawróceń. Z pomiędzy tych nowonawróconych, 59 osób otrzymało już Chrzest święty, inni zaś uczą się jeszcze prawd wiary, aby po pewnym okresie próby dostąpić również tego szczęścia.

Cóż mam jeszcze dodać?... Oto nie pozostaje mi nic więcej, jak tylko złożyć najgorętsze dzięki Wszechmocnemu Bogu, Najśw. Maryi Pannie, oraz wspaniałomyślnym naszym dobroczyńcom.

Wy wszyscy, którzy czytać będziecie te słowa, dopomóżcie swemi modlitwami i jałmużnami, zdziałać w tym roku tyle dobrego, ileśmy zdziałali w ubiegłym, a nawet więcej jeszcze. Oby spłynęło na was błogosławieństwo Pana Boga i Najśw. Jego Matki!

Fauna domowa i prace missyonarskie w Boromie.

Jednym z najważniejszych posterunków missyjnych w Afryce Południowej jest missya w Boromie, leżąca na lewym brzegu Zambezy. Dom i szkoła missyonarzy z naszego Zakonu, któremu missya ta powierzoną została, wznoszą się w pobliżu rzeki, od której oddziela je ogród. Po za rezydencyą missyjną ciągną się w półkole okrągłe chaty krajowców, ocienione wyniosłemi drzewami. Opodal u podnóża pagórka stoi kaplica wraz z domem i szkołą Sióstr św. Józefa z Cluny.

Dom ten poprzednio należał do missyonarzy, ale po przybyciu Sióstr, Ojcowie ustąpili go tym ostatnim, sami zaś aż do chwili ukończenia nowej swej rezydencyi mieszkali w starej i nędznej szopie. Kaplica zbudowana w r. 1891, została wymalowaną starannie przez Brata Lindlohr'a, liczni zaś dobroczyńcy, jakich O. Czymermann znalazł w obrębie austryackiej monarchii, przyłożyli się do ozdobienia tego domu Bożego. Nie braknie mu nawet zegara wieżowego, będącego w pewnej części dziełem Brata Lindlohr'a.

»Jestem właśnie zajęty jego umieszczeniem — pisze poczciwy ten Brat, który w missyi spełnia także obowiązki zegarmistrza, utrzymując w dobrym stanie wszystkie zegarki. — Zegar ten naturalnie wprawił biednych murzynów w zachwyt i zdumienie. Nie mogli wcale zrozumieć — pisze on — dlaczego zegar nie myli się przy biciu i za każdym razem rachowali jego uderzenie, aby się o tem przekonać. Ponieważ są bardzo zabobonni, myślą więc, że we wnętrzu musi siedzieć duch *(muzimo)*, który porusza młotkiem. Również wszyscy tutejsi czeladnicy krawieccy otwierali szeroko oczy, ujrzawszy po raz pierwszy maszynę do szycia. I tam także podług ich przekonania mieszka jakiś duch, umiejący tak zręcznie manewrować igłą«.

Posłuchajmy teraz, co O. Menyharth pisze o rezydencyi missyjnej. »W porównaniu do nędznych chat murzyńskich, w których znajdujemy schronienie podczas apostolskich wycieczek, dom nasz zasługuje istotnie na nazwę wygodnego, wspaniałego pałacu. Ma on 28 metrów długości na 9 metrów szerokości, do budowy zaś jego nie użyto ani jednego kamienia, cegły, gwoździa lub kawałka żelaza. Na ośmiu grubych słupach, wysokich na 7 do 8 metrów, wspiera się dach nadzwyczajną odznaczający się prostotą, stanowią go bowiem długie gałęzie, powiązane ze sobą łykiem i leżące ukośnie na krokwiach, oraz pokryte słomą i liśćmi palmowemi. Ściany składają się z drągów, stojących pionowo i połączonych ze sobą zapomocą łyka. Nadto z obu stron oblepiono je gliną, wewnątrz zaś pomalowano nawet na biało, gdyż dzięki O. Hillerowi, trudniącemu się obecnie wypalaniem wapna, tego ostatniego wcale nam nie braknie. Pokoje, jeżeli je tak nazwać można, odosobnione są nawzajem od siebie cienkiemi trzcinowemi plecionkami, wyjątek zaś w tej mierze stanowi tylko kaplica i pokój przełożonego, oddzielony od niej murowaną ścianą. Od kwietnia 1891 r. mamy nawet okiennice, poprzednio zaś zasłanialiśmy otwory w ścianie trzciną lub matami.

Zbytecznem byłoby mówić, że w takim domu mieszka oprócz nas wiele innych istot żyjących. Do nich należą przedewszystkiem dwa gatunki szczurów i kilka gatunków myszy. Nie braknie tu również lemingów czyli szczurów wędrownych, które zwiedziwszy całą Europę, zapragnęły teraz z kolei zwiedzić Afrykę.

Niekiedy szczury stawały się dla nas prawdziwą klęską, tak, że niektórzy z nas nie mogli sypiać po całych nocach, a nawet dostawali gorączki. Niepodobna też opisać, jak małe te zwierzątka stały się zuchwałe, zwłaszcza wówczas, gdy się przekonały, że trucizna i pułapki na nie zastawiane, zupełne zrobiły *fiasco*. Przewracają nam rozmaite rzeczy, zeskakują na nas z dachu, wyprawiają gonitwy po naszych łóżkach, nie szczędząc przytem i nas samych, hałasują po całych nocach, a nawet gryść nas zaczynają. W przeciągu jednej nocy, szczury próbowały trzy razy, czy też moje nogi zdatne są do jedzenia.

Najbardziej ta prawdziwa plaga egipska dała się nam uczuć w r. 1890, ale jakby na nasz ratunek, pojawił

się w okolicy kot dziki, czyli *bonga,* podobny nieco do europejskiej łasicy. Wkrótce też grobowa cisza zapanowała w całym domu, po upływie zaś czterech tygodni nie pozostało już ani śladu myszy i szczurów.

»W następnym roku jednak szczury znowu rozpoczęły harce, poczem nagle znikły jakby pod ziemią. Przekonaliśmy się niebawem, że do missyi zakradł się gość daleko niebezpieczniejszy od całej gromady szczurów i myszy.

»Wieczorem dnia 2 marca Brat Lindlohr usłyszał przy łóżku szelest, jak gdyby pomiędzy jego rzeczami ciągnięto gruby, ciężki sznur. Natychmiast więc zapalił światło i ujrzał na podłodze ogromnego jadowitego węża, zwanego *badza.* Wąż uciekł, Brat zaś znowu udał się na spoczynek. Po chwili tenże sam szelest powtórnie dał się słyszeć, ale tym razem przy materacu, który się ztoczył z łóżka. Nie pozostawało więc nic innego, jak zapalić światło i wypędzić z pokoju nieproszonego gościa. Węże te mają zwyczaj zakradania się wieczorem do mieszkań, w których łapią szczury, żaby i jaszczurki. W nowym naszym domu niejednokrotnie już musieliśmy zabijać rozmaite węże, gdyż oprócz *badza,* nawiedza nas bardzo często drugi jadowity i trzeci niejadowity gatunek tych płazów.

»Po szczurach i wężach, najmniej pożądanemi i miłemi dla nas współlokatorkami są mrówki. Szczególniej doprowadzał nas do rozpaczy pewien malutki gatunek tych owadów, które, jak twierdzi Brat Gleziński, wyłażą zwykle z ziemi w ogromnej ilości.

»Pewnego razu missya nasza została napadnięta przez miliardy tak nieproszonych natrętów. Na stołach, przy których pracowaliśmy lub spożywaliśmy posiłek, w skrzyniach, kufrach, odzieży, a nawet potrawach, słowem wszędzie było ich mnóstwo. Gdyśmy zdołali wypędzić lub wytępić jeden rój mrówek, natychmiast całe tysiące innych zjawiały się na ich miejsce. Skoro zaś wyszedłszy z domu, zasiedliśmy pod drzewem, to zwykle w pięć lub dziesięć minut później, mrówki długim szeregiem podążały ku nam i zdawały się walczyć z nami o każdy cal wolnego miejsca. Wszędzie też umiały znaleść cośkolwiek do zjedzenia, w nocy zaś bolesne ich ukąszenia nieraz budziły nas ze snu, całe łóżko bowiem było czarne od mnóstwa natrętnych owadów. Każdy więc, kto chciał zasnąć spokojnie, musiał wstać, oczyścić całe łóżko, a nawet przenieść je na inne miejsce, nogi zaś jego osypać popiołem. Należało też zważać na to, aby najmniejszy kawałek prześcieradła lub kołdry nie spadał na podłogę, byłoby to bowiem utorowaniem drogi dla mrówek. Szczególniej jednak dokuczliwe te owady dawały nam się we znaki podczas choroby, od zwłok zaś drogich naszych zmarłych z trudnością mogliśmy je odpędzić.

»Mniej nieprzyjemne, ale daleko szkodliwsze od mrówek są termity, zwane również białemi mrówkami. Najbogatszego nawet człowieka mogą one w przeciągu kilku tygodni doprowadzić do nędzy, gdyż jeżeli się na nie nie zwróci uwagi, to po upływie niezbyt długiego czasu, drobne te stworzenia zniszczą i pogryzą wszystko, co tylko napotkają. Cały grunt pod nami jest jakby katakumbą w miniaturze, przerzyna go bowiem mnóstwo węższych lub szerszych korytarzy, wywierconych przez termity; murowane i drewniane ściany roją się również mnóstwem tych żyjątek, a nawet na drewnianym suficie po nad naszemi głowami, widzimy wszędzie kryte przejścia, wylepione przez nie z gliny, w których jak dniem tak nocą wiodą dzieło zniszczenia.

»Chociaż cały nasz dom zbudowany został z tak zwanego żelaznego drzewa, czyli *mutsangu,* termity jednak zdołały zniszczyć je tak dalece, że w wielu miejscach pozostał już tylko czerwony, nadzwyczaj twardy rdzeń tego drzewa. Dotychczas zauważyliśmy tutaj dwa odrębne gatunki termitów. O wytępieniu ich nawet mowy być nie może, jedynym więc środkiem ratunku jest ciągła baczność i uwaga. Jeżeli jaka skrzynia stoi przez dni kilka na temsamem miejscu, to z pewnością zagnieżdżą się w niej termity. Skoro zaś książka, ołówek lub coś podobnego spadnie na podłogę, tak, że żaden z nas tego nie spostrzeże, wówczas niechybnie stanie się łupem tych owadów, które nawet do butów zakradać się lubią. Musimy więc kłaść wszystkie nasze rzeczy na ogromnych kamieniach, gdyż w takim tylko razie przez czas niejaki możemy być spokojni. Atoli po kilku tygodniach niezmordowane termity wybudują z pewnością na nienawistnym dla siebie głazie swoje gliniane korytarze. Zdarza się nawet nieraz, że nie mogąc w inny sposób dosięgnąć jakiegoś upragnionego przedmiotu, budują one prawdziwe wieże, po ścianach których drapią się w górę.

»Pewnego razu obok mego łóżka zbudowały w przeciągu ośmnastu godzin wieżę, która miała 32 ctm. wysokości i 1 ctm. średnicy, aby się dostać w ten sposób do zasuszonych roślin, przechowywanych przezemnie troskliwie.

»W roku ubiegłym, wówczas właśnie, gdy mrówki najbardziej nam dokuczały, zbudziły mię pewnej nocy bolesne ich ukąszenia. Wstałem więc, oczyściłem łóżko i znowu się położyłem. Po niejakim czasie zapaliłem światło, aby się przekonać, czy też mrówki powtórnie nie urządzają napaści. Rzeczywiście w nogach mego łóżka zaczęło się już gromadzić mnóstwo tych owadów. Widok ten doprowadził mię niemal do rozpaczy. Nagle z jakiegoś kąta wypełzły trzy ogromne ropuchy i popatrzywszy na mnie ze współczuciem, tak energicznie zabrały się do dzieła, że niebawem mrówki znikły bez śladu. Wywarło to na mnie tak korzystne wrażenie, że uczułem nawet pewną sympatyę dla obrzydliwych ropuch. Nie długo to jednak trwało, gdyż niebawem rozmnożyły się one tak bardzo w naszym domu i tak dalece

stały się zuchwałe, że po całych dniach za naszemi łóżkami i skrzyniami, bezpłatne wyprawiały koncerta.

»Pewnego razu pod jedną tylko skrzynią znaleźliśmy aż dziewięć ropuch, w papierach moich jedenastu tak niemiłych gości obrało sobie siedlisko, za naczyniami zaś z wodą przesiadywało grono tych biesiadników, złożone ze dwudziestu członków. Rozpoczęła się więc walka eksterminacyjna, ale skorośmy tylko pozbyli się jednych, natychmiast drugie przybywały na ich miejsce. Wreszcie dostaliśmy dwa ładniutkie zwierzątka, zwane *chombua*, które w krótkim przeciągu czasu pożarły wszystkie ropuchy.

»Mamy także w domu parę gatunków jaszczurek. Z początku wydawały mi się one bardzo sympatyczne, i nieraz chętnie się przypatrywałem z jaką zręcznością łapały komary, muchy, mrówki, karaluchy, a nawet termity. Wkrótce jednak przekonałem się, że jedne z nich umiały kąsać bardzo dotkliwie, drugie zaś były próżniaczkami i darmozjadami nielada.

»Nie braknie też u nas skorpionów, nieraz bowiem wychodząc z domu znajdują je w parasolu. Przedewszystkiem jednak dom nasz obfituje w pająki rozmaitego rodzaju. Jedne z nich są malutkie, nadzwyczaj zwinne i podobne nieco do skorpionów, drugie, większe nieco, mają od 5 do 8 centymetrów długości, ukąszenia zaś ich, jak twierdzą krajowcy, są bardzo niebezpieczne.

Japonia. — Miejsce przechadzek w okolicy Tokio; podług fotogr. przysłanej przez X. J. M. Corre, missyon. apost.

»Mamy też przedstawicieli tak zwanych pająków krzyżaków, kilka gatunków pająków o długich nogach i pająków skaczących *(saltica scenica)*, które z niezwykłą zręcznością chwytają w powietrzu swą zdobycz.

»Najbardziej jednak zasługuje na uwagę pewien gatunek ogromnych pająków, tylko w Afryce napotykanych, które na ścianach lub rozmaitych sprzętach, snują okrągłą i bardzo gęstą siatkę, podobną zdaleka do kawałka papieru i całemi dniami w pośrodku białej tej przędzy siedzą, czekając na zdobycz. Bardzo niemiłe wrażenie sprawia przebieganie tego pająka po ciele, co nader często się zdarza.

»Koncerta wyprawiane w nocy przez świerszcze do powszednich należą rzeczy, gdyż kilka gatunków tych owadów rozgościło się na dobre w naszym domu i za każdym razem, skoro przesuwamy jakiś przedmiot na inne miejsce, wyskakują one ze swej kryjówki, uciekając na wszystkie strony. Pomiędzy nimi znajduje się pewien olbrzym, podobny do pająka i uzbrojony mackami na 15 centymetrów długiemi, wyglądającemi zdaleka jak wąsy.

»Najszkaradniejszym jednak jest świerszcz szary z czarnemi prążkami, na 8 centymetrów długi, którego najczęściej napotkać można przy nieżywych chrząszczach, lub w pobliżu śmietnika. W domu jednak również na nich nie zbywa, znajdywałem bowiem je często na swojem łóżku i mam nawet podejrzenie, że ich właśnie ukąszeniu przypisać należy bardzo dokuczliwe wyrzuty skórne, jakie przez czas pewien miewałem.

»Atoli najwstrętniejszemi dla nas gośćmi są karaluchy, niszczące wszystko, co tylko napotkają. W odzieży, książkach, zapasach żywności, skrzyniach, szczelinach,

w ścianach i suficie, słowem wszędzie przebywa ich mnóstwo, a nawet częstokroć przychodzą w nocy do naszych łóżek, składając wcale niepożądane wizyty. — Mamy ich w domu aż trzy gatunki, z których jeden odznacza się bardzo ładnemi białemi i brunatnemi centkami.

»Na uwagę zasługują także osy, pracujące niezmordowanie przez większą część roku. Mianowicie budują one z gliny rurki długie na 2 lub 3 centymetry, w których przechowują od 20 do 30 pająków, robaków i innych owadów, robiąc w taki sposób zapasy żywności dla swoich gąsienic. Niekiedy gniazdo os, złożone ze 20 do 60 rurek, dochodzi do kilkunastu, a nawet więcej centymetrów obwodu. Nieznośne te owady na każdym niemal kroku u nas się napotykają. Na suficie, ścianach i wszystkich niemal przedmiotach znajdujemy te codziennie ogromne żółte plamy, pochodzące z gliny; nieraz nawet niepoczciwe osy zlepiają gliną nasze książki i skrzynie, lub robią sobie gniazda u wiszącej odzieży. Najpospolitszemi są osy o długich czarno-żółtych no-

Afryka Południowa (Niższa Zambeza). — Port królewski Tungo; podług rysunku O. Courtois.

gach, oprócz nich wszakże mamy jeszcze pięć innych gatunków, a mianowicie: ogromne osy czarne, dwa gatunki os z żółtym tułowiem, oraz z parę gatunków tych owadów, odznaczających się prześliczną zielonawo-złotą barwą. Nic dziwnego, że wobec takiego mnóstwa os ukąszenia ich są na porządku dziennym.

»W roku ubiegłym przybył nawet do nas rój pszczół, którym O. Hiller udzielił z radością schronienia przy swojem łóżku, ale w kilka miesięcy później, niegodziwe mrówki wypędziły je z domu. Zresztą wędrowne pszczoły bardzo często zaglądają do missyi.

»Zbytecznem byłoby mówić, że rozmaite gatunki much, nawiedzające domy europejskie, nie gardzą też i naszą ubogą siedzibą. Zwłaszcza w r. 1892 niezliczone roje tych owadów dokuczały nam okropnie przez kilka miesięcy.

»Inne rodzaje pasożytów pomijam milczeniem. Łatwo się domyśleć, że z powodu ciągłego zetknięcia się z murzynami, nie możemy uniknąć różnorodnego robactwa, tak, że przez czas niejaki, musiałem każdego tygodnia zanurzyć całą odzież we wrzącej wodzie, aby się od niego uchronić.

»Na tem mniej więcej kończy się lista stałych mieszkańców, z których się składa domowa nasza fauna. Daleko większą wszakże jest ilość przybyszów, nawiedzających nas tylko chwilowo; wieczorem, zwłaszcza

gdy zapalimy lampę, zlatują się na stół całe roje najrozmaitszych owadów, tak, że w przeciągu pięciu minut możnaby zebrać bogatą kolekcyę. Niekiedy nawet niepodobna z powodu tych natrętów odmawiać brewiarz przy świetle lampy.

»Znaczna ilość nietoperzy latających wieczorem i w nocy koło naszego domu, pozwala wnioskować o niezliczonem mnóstwie rozmaitych owadów. Nietoperze są dla nas bardzo miłemi i pożytecznemi stworzeniami, nieraz bowiem przez całe godziny latają w nocy nad łóżkami naszemi, łapiąc moskity, komary i inne owady«.

Jeżeli z jednej strony malutki światek zwierząt gryzących, płazów i owadów, zapełnia wnętrze missyjnego domu, to z drugiej strony w pobliskich lasach i rzekach mieszkają liczni a daleko groźniejsi nieprzyjaciele.

»W rzece — pisze Brat Lindlohr — znajduje się wiele krokodyli i hipopotamów. Niejednokrotnie podczas żeglugi w szalupie, należącej do missyi, strzelaliśmy do krokodyli, ale pomimo celnych strzałów, nie mogliśmy nigdy zawieść do domu żadnych trofeów myśliwskich.

»Pewnego razu kula ugodzila krokodyla w pierś, tak, że krew obfitą strugą zaczęła z niej tryskać. Gdyśmy jednak zwrócili łódź w tym kierunku, potwór ukrył się pod wodą i uszedł pogoni. Wszystkie niemal ranione krokodyle kończą niebawem życie, nader rzadko wszakże udaje się zabrać je ze sobą«.

»Kiedy pisałem ostatnie te słowa — donosi Brat Lindlohr innym razem — nadeszła wieść o porwaniu przez krokodyla pewnej murzynki, która poszła do rzeki po wodę. Wogóle krokodyle pożerają tutaj bardzo wielu murzynów. Gdyśmy z początku przed wybudowaniem domu sypiali na dziedzińcu, odwiedzały nas w nocy nader często hyeny i lamparty.

»Pewnej nocy na dziedziniec wszedł ogromny lampart i wtargnąwszy do stajni, zaczął dusić biedne kozy. Jeden z Ojców, zarządzający gospodarstwem domowem, który nie spał jeszcze, usłyszał żałosne beczenie biednych zwierząt i pospieszył im z pomocą, ale chociaż dwa razy strzelił do lamparta, kula ani razu nie dosięgła napastnika. Po drugim strzale i ja się obudziłem. Wówczas właśnie sypiałem zawsze przy samej bramie, aby czuwać nad bezpieczeństwem nas wszystkich, ale ponieważ sypiam zwykle mocno, łatwo więc możecie się domyśleć, jak byłem odpowiedni do spełniania obowiązków stróża«.

Najzuchwalszemi jednak są szkaradne hyeny, które nieraz po całych nocach wyją, nie pozwalając ani na chwilę zasnąć missyonarzom.

Wieśniaczka z wysp w okolicach Zary.

»Pewnego razu hyena — jak pisze Brat Glezíński — próbowała nawet wyciągnąć psa z pod łóżka jednego z Ojców«.

Naturalnie wszyscy, którzy sypiają na dziedzińcu, muszą być uzbrojeni. Skoro więc jakie drapieżne zwierzę wtargnie do missyjnej rezydencyi, wówczas tworzy się pospolite ruszenie, wszyscy bowiem strzelają lub krzyczą dopóty, dopóki natrętny gość nie zostanie zabity, albo zmuszony do ucieczki. Nadto w okolicach Boromy nader często pojawiają się lwy; krajowcy zaś, jak nam opowiadał O. Courtois, czczą pewnego starego Dominikanina jako króla lwów, a o poczciwym Ojcu Gabryelu, na którego grobie często lwy widywano, utworzyli sobie również podobną legendę.

Oto jak się przedstawia fauna w okolicach Boromy. Co się tyczy sąsiedniej murzyńskiej ludności i jej obyczajów, to niejednokrotnie już *Missye katolickie* umieszczały ciekawe opisy, skreślone w tej mierze przez missyonarzy. Czytelnicy wiedzą również dobrze o założeniu missyi nad Zambezą w r. 1881, oraz o wielu ciężkich ofiarach, jakich od samego początku wymagała tam działalność apostolska. Gdy śmierć znaczne w szeregach missyonarzy poczyniła luki, O. Czimermann przywiózł nowe posiłki z Europy i w maju 1890 r. czterech Ojców, pięciu Braci, oraz ośm Sióstr św. Józefa z Cluny, odpłynęło z nim razem z lizbońskiego portu. Zaledwie jednak karawana missyjna dotarła do zachodnich wybrzeży Afryki, gdy niebezpieczna choroba zmusiła dwóch missyonarzy do natychmiastowego powrotu. Później jedna z Sióstr umarła w łodzi podczas żeglugi na Zambezie w 29-tym roku życia, kilku zaś innych missyonarzy natychmiast po przybyciu do Boromy zachorowało na febrę i niektórzy z nich w sierpniu 1890 r. pożegnali się z tym światem.

»Ciągle prawie — pisze O. Czimermann w jednym ze swoich listów — mamy w missyi dwóch, trzech lub nawet sześciu chorych. W następnym 1891 r., śmierć również obfite zebrała żniwo. — Dnia 9 lutego umarł 28 letni Brat Józef Müller, a podczas Wielkiego tygodnia zachorował niebezpiecznie O. Czimermann, przełożony missyi, tak, że już nawet stracono nadzieję jego ocalenia, ale po niejakim czasie odzyskał zdrowie. Dnia 28 kwietnia zasnął w Panu dzielny Brat Prihoda, dawny wierny towarzysz O. Vesteneck'a († 1884) i O. Gabryela († 1885), a dnia 12 czerwca umarł Brat de Silva, Portugalczyk, którego śmierć również dotkliwą dla missyi była stratą. Jednocześnie nieubłagana febra to tego, to owego z missyonarzy na całe tygodnie przykuwała do łoża.

Również i Siostry w ubogiem, niewygodnem

mieszkaniu dużo musiały ucierpieć, ale znosiły wszystko z bohaterską cierpliwością.

Najdłużej chorowała sama przełożona, chociaż nawet w chwilach największych cierpień, nie dało się z ust jej słyszeć żadne słowo zniecierpliwienia lub skargi. Od czasu do czasu wołała tylko głośno: »O mój Boże, jakże Cię kocham!« Rekonwalescencya bardzo powolnym posuwała się krokiem, głównie z powodu braku dostatecznej pieczy, ponieważ inne Zakonnice także w tym czasie chorowały, niezręczne zaś murzynki pomimo szczerych chęci nie nadawały się wcale do pielęgnowania cierpiących. Później uporczywa febra wtrąciła jeszcze kilka nowych ofiar do trumny, na cmentarzu zaś, założonym dnia 18 stycznia 1891 r., coraz to nowe przybywały groby.

Wogóle missya nad Dolną Zambezą od chwili swego założenia w r. 1881 r. do maja 1892 r. straciła 8 Ojców, 6 Braci i 2 Siostry, w missyi zaś nad Górną Zambezą od r. 1879 do stycznia 1892 zmarło 13 Ojców, 1 Scholastyk i 5 Braci. Ogólna więc liczba szlachetnych i pełnych poświęcenia ofiar, zmarłych w przeciągu lat dziesięciu, wynosi 35 osób, a mianowicie 16 nad Dolną i 19 na Górną Zambezą. Liczby te, rzucające dostateczne światło na trudne ze wszechmiar warunki powyższej missyi, powinnyby zjednać jej współczucie naczych czytelników, tembardziej, że większa część zmarłych pożegnała się z tym światem w samym kwiecie wieku.

Przyczyny tak wielkiej śmiertelności w Boromie należy szukać w niezdrowem położeniu mieszkań, pozbawionych zresztą wszelkich najniezbędniejszych wygód. »Jesteśmy Europejczykami a nie murzynami — mówi słusznie O. Menyhardt — jeżeli więc chcemy utrzymać się przy życiu i dalej pracować, to w jednej przynajmniej miejscowości musimy mieć dobre mieszkanie, w którem moglibyśmy przez czas niejaki odpoczywać kolejno po trudach i odzyskać nadwątlone siły«. Dlatego też powzięto zamiar założenia na górach ciągnących się po nad Zambezą nowej stacyi missyjnej, która będzie zawierała mieszkania dla Ojców, Zakonnic, oraz murzyńskich chłopców i dziewcząt. Missyonarze zamierzają tam nawet zbudować nowy piękny kościół. Wówczas też Boroma stanie się głównem ogniskiem missyjnej działalności, ilość zaś pomniejszych posterunków missyjnych stopniowo będzie się zwiększała. Poczyniono już nawet pierwsze kroki w celu założenia rezydencyi w Zumbo.

Nader pocieszającym objawem jest to, że wpływ missyonarzy coraz bardziej wzrasta; uprzedzenia zaś, jakie matki murzyńskie miały z początku przeciw Zakonnicom, z każdym dniem niemal się zacierają. Dlatego też nietylko chłopcy, ale i dziewczęta mogą już obecnie otrzymywać dobre, prawdziwie chrześcijańskie wychowanie. Corocznie także pomiędzy młodzieżą wychodzącą ze szkół missyonarzy i Zakonnic, zawierane bywają małżeństwa, które po upływie pewnego czasu, staną się trwałą podstawą wzorowej chrześcijańskiej gminy. Będzie to niezaprzeczenie najpiękniejszy owoc tak licznych ofiar i bezgranicznego poświęcenia niezmordowanych apostolskich pracowników.

DALMACYA.

(Notatki z podróży w r. 1892).

(Ciąg dalszy).

III.

Kolonia albańska w Borgo Erizzo.

Widząc niejednokrotnie typy Albańczyków po ulicach Zary, zadawałem sobie pytanie, zkąd się tu wzięli? co tu robią?

Odpowiedź znalazłem: »mają tu niedaleko swoją kolonię, rządzącą się nawet swemi prawami«. Ponieważ wówczas zbierałem materyały do obszerniejszej pracy o Albanii, bardzo mię zaciekawiła ta wiadomość i postanowiłem odwiedzić emigrantów i zapoznać się z nimi. Jeden z moich znajomych, Dalmata, znający stosunki kolonii, ofiarował mi się za towarzysza, więc nie zwlekając, pierwszego dnia wolnego zrobiłem nader miłą wycieczkę do tej siedziby albańskiej. Droga prowadziła przez znaną nam bramę *di terra ferma*, dobrym gościńcem, ocienionym drzewami, nad brzegiem morza, z bezustannie cudnym widokiem na Alpy Dynarskie.

Rybak z okolic Zary.

Parę kilometrów za Zarą rozpoczęła się wioska, a raczej łańcuch domków po obydwu stronach drogi, ciągnący się, jak mnie zapewniano, około ćwierć naszej mili. Borgo Erizzo, tak się ta kolonia nazywa od swego założyciela, zaraz na wstępie miłe robi wrażenie: zagrody schludne, przy każdej ogródek z kwiatami i jarzynami, lud pięknie i zdrowo wygląda, o ile z ubrania można wnosić panuje nawet dostatek.

Pierwsza wizyta naturalnie u X. Proboszcza. Jest nim Don Sime Torić, żupnik Arbanassi. Przyjął

mnie ze sławiańską gościnnością i zaraz na wstępie kazał podać czarną kawę (to już albańskim zwyczajem). Gosposia zakłopotana przychodzi i mówi, że ani ziarnka niema, bo wszystko się wydało w niedzielę. Ponieważ było to w piątek popołudniu, ztąd wnosić mogłem, że chociaż w majętnej wiosce, u proboszcza zbytku tu niema i owszem chuda fara. Przyznam się, że to spostrzeżenie nader miłe na mnie zrobiło wrażenie, poznałem że tu mieszka ubóstwo, które dobre rzuca światło na usposobienie i charakter duszpasterstwa.

X. Torić dowiedziawszy się o celu mego przybycia, oprowadził po kościele i wszystkich uliczkach lub zakątkach wioski, zapoznał z wybitniejszymi Albańczykami, a ci widząc, że robię notatki, tłumnie się zbierali i każdy chciał jakiś nowy szczegół wyjaśnić lub dodać. To co na miejscu zebrałem, oraz w archiwum zarateńskiego namiestnictwa, podaję, a może posłuży do rzucenia nieco światła na tutejsze stosunki Rzpltej Weneckiej z ościennem Ottomańskiem Państwem.

Od czasu najazdu i zaboru tureckiego południowych państw słowiańskich: Bośni i Hercegowiny, a zarazem i Albani, Rzeczpospolita Wenecka ścisłe zawiązała stosunki z tamtejszą katolicką ludnością i poczuwała się poniekąd do otaczania jej swoją opieką. Czy to robiła z interesu, czy z humanitarnej pobudki, niżej zobaczymy; to pewna, że protekcya potężnej Wenecyi bardzo była na rękę uciśnionej ludności, zwłaszcza, gdy pod koniec XVII wieku prześladowanie chrześcijan, szczególnie w Albanii, przechodziło wszelkie granice. Nieszczęśliwi parę razy wspierani wojskami Rzeczypospolitej, starali się wydostać z pod tureckiego jarzma, lecz nadaremne były ich usiłowania; zwyciężeni, musieli albo opuścić ojczyznę, albo wyrzec się wiary. Znaczna część ludności wybrała pierwszą alternatywę. Odtąd rozpoczyna się szereg emigracyi w rozmaite strony, do Sycylii, południowych Włoch, Istryi, Dalmacyi, Kotaru, Czarnogóry.

Rzeczpospolita Wenecka bardzo chętnie otwierała swoje granice dla tych biednych ludzi, chociaż była przeciwną i przeszkadzała ich emigracyi do innych państw, nawet włoskich, jak n. p. do królestwa Neapolitańskiego. Była to polityka bardzo usprawiedliwiona, jeśli zważymy na nieludzkie postępowanie cesarstwa Ottomańskiego i przekonanie ówczesne, że potęga państwa zależy jedynie od liczby poddanych.

Tem się tłumaczy, że gdy w sierpniu 1726 r. około 20 rodzin albańskich przybyło do Zary z prośbą o przyjęcie do gminy, wenecki *provveditore generale* Mikołaj Erizzo II zaraz wydał rozporządzenie rozmieszczenia emigrantów w bliskości miasta.

Z dokumentów w archiwum namiestnictwa zaratyńskiego okazuje się, że byli to ludzie rzeczywiście prześladowani za wiarę i dobrowolnie opuścili swoją majętność i cały dobytek, aby tylko zabezpieczyć sobie i potomstwu najcenniejszy skarb wiary.

Z drugiej strony rząd wenecki wcale się z tem nie tai, że dlatego ich przyjmuje w swe granice, ponieważ chce zwiększyć swą ludność i dochody z posiadłości ziemskich, dotychczas mało lub wcale nie eksploatowanych dla braku rąk do pracy [1]).

Mikołajowi Erizzo łatwo było wydać rozporządzenie osiedlenia około Zary przybyłych Albańczyków, lecz trudniej było wykonać dla braku ziemi do rozporządzenia w bliskości miasta. Zaradził temu zacny kapłan X. Jan Grisogono, który odstąpił na ten cel swe prywatne posiadłości, położone parę kilometrów za Zarą. Tam kosztem rządu zbudowano mieszkania dla Albańczyków, takie, jakie je dziś widzimy i opatrzono w niezbędne sprzęty domowe i gospodarskie.

Rzeczpospolita uznając wielką zasługę w tej niezwykłej hojności X. Grisogona, dała mu na piśmie obietnicę wynagrodzenia innemi gruntami skarbowemi dalej położonemi i to do jego wyboru. Niestety obietnica pozostała tylko na papierze i nigdy się nie ziściła, nawet wtedy, gdy zubożała jego rodzina 1778 r. prosiła o to senat wenecki.

Równocześnie z urządzeniem kolonii *Borgo Erizzo* i jej filii w Zemoniko, otrzymali Albańczycy osobną konstytucyę, zastosowaną do swego charakteru i usposobienia.

Mieli mianowicie prawo wyboru naczelnika kolonii, zatwierdzanego jednak przez *provveditor'a* generalnego. Jego władza zależała od »reprezentantów«, którym winien być posłusznym we wszystkich okolicznościach, tyczących się publicznej służby. Naczelnik wioski wykonywał wszystkie rozporządzenia naczelnej władzy wojskowej, czuwał nad zachowaniem porządku w kolonii, reprezentował ją w rozmaitych zatargach z sąsiadami, wreszcie wybierał corocznie sędziów z grona Albańczyków.

Zaraz po ogłoszeniu tej konstytucyi nastąpił wybór naczelnika w osobie Łukasza Andricza, czyli syna Andrzeja, bez nazwiska, gdyż podobnie jak dziś jeszcze, ludność albańska najczęściej niema żadnych nazwisk, lecz syn dodaje do swego imienia imię ojcowskie i to ma wystarczyć za nazwisko rodowe [2]).

Mikołaj Erizzo zadowolony z takiego nabytku dla swego państwa, chcąc związać kolonistów silniejszemi węzły z Rzecząpospolitą, zwolnił ich na czas pewien od podatków i innych ciężarów, tak, że mogli w krótkim czasie dobrze się zagospodarować i dojść nawet do takiego stanu majątkowego, jaki posiadali w swojej ojczyznie.

W ślad za tymi emigrantami, parę lat później kilkanaście rodzin albańskich uciekło z Turcyi i schroniło

[1]) Zob. Archiwum Namiestnictwa w Zarze, pod tytułem *Nicolo Erizzo II*, vol. I, karta 158.

[2]) l. c. k. 159.

się pod skrzydła opiekuńcze Wenecyi. Ówczesny *provveditore* Piotr *Vendramin*, chętnie je przyjął i uposażył, jak poprzedników Erizzo.

Ledwie ci się zagospodarowali, gdy oto nadzwyczajny *provveditore* wenecki Emo, zamieszkały w Cattaro, zawiadamia *provveditora* Zary, Grimaniego, że nowa karawana 150 Albańczyków pragnie się złączyć z dawniej osiadłymi w Borgo Erizzo. Tą razą Grimaniemu nie była na rękę zkądinąd wesoła wiadomość, ponieważ obawiał się wielkich i niebezpiecznych kłopotów z takiego napływu obcych poddanych.

Emigranci, o których chodziło, uciekli przed okropnem prześladowaniem dwu braci Omer, baszów antiwarskich, zasługiwali więc na litość; z drugiej strony ostatnie pokojowe traktaty Rzeczypospolitej z Turcyą, nakazywały wzajemne wydawanie sobie uciekinierów, w razie potrzeby nawet z użyciem wojskowej siły. Wielka liczba poddanych tureckich na ziemi Dalmackiej nie mogła być dłużej utrzymywaną w tajemnicy wobec Wysokiej Porty, groziła więc wojna za zerwanie układów. Grimani znalazł się między Scyllą a Charybdą.

Sprytny Włoch umiał znaleść wśród tej alternatywy trzeci punkt wyjścia. Rozkazał nadzwyczajnemu *provveditore* kotarskiemu Emo, prywatnie namawiać albańskich emigrantów do powrotu, a gdyby się mu to nie udało, miał im ułatwić ucieczkę w granice Dalmacyi najbardziej na północ wysunięte. Równocześnie wysłał ajenta do Skodry (Skutari), aby zbadał w tym względzie usposobienie tamtejszego Baszy. Informacye niebawem nadeszły do Zary.

Podług opinii samych Turków, Albańczycy uciekli przed prześladowaniem Achmeta Omer Baszy, którego niedawno złożono z urzędu. Kurt Basza, jego następca, o wszystkiem co zaszło dobrze wiedział i pragnął w mętnej wodzie łowić ryby — dla własnej kieszeni. W tym celu powiększał sprawę i groził wysłaniem skargi do Konstantynopola, jeśli Wenecya nie da sowitego wynagrodzenia. Agent Grimaniego, Bucchi, nie stracił fantazyi i pozyskał dla siebie Solimana Agà, człowieka wielkiego wpływu i znaczenia w Skodrze. Ten oświadczył stanowczo Baszy Kurt'owi, że Albańczycy uciekli jedynie wskutek prześladowania jego poprzednika, więc niesłusznie czyni za to odpowiedzialną Rzeczpospolitę.

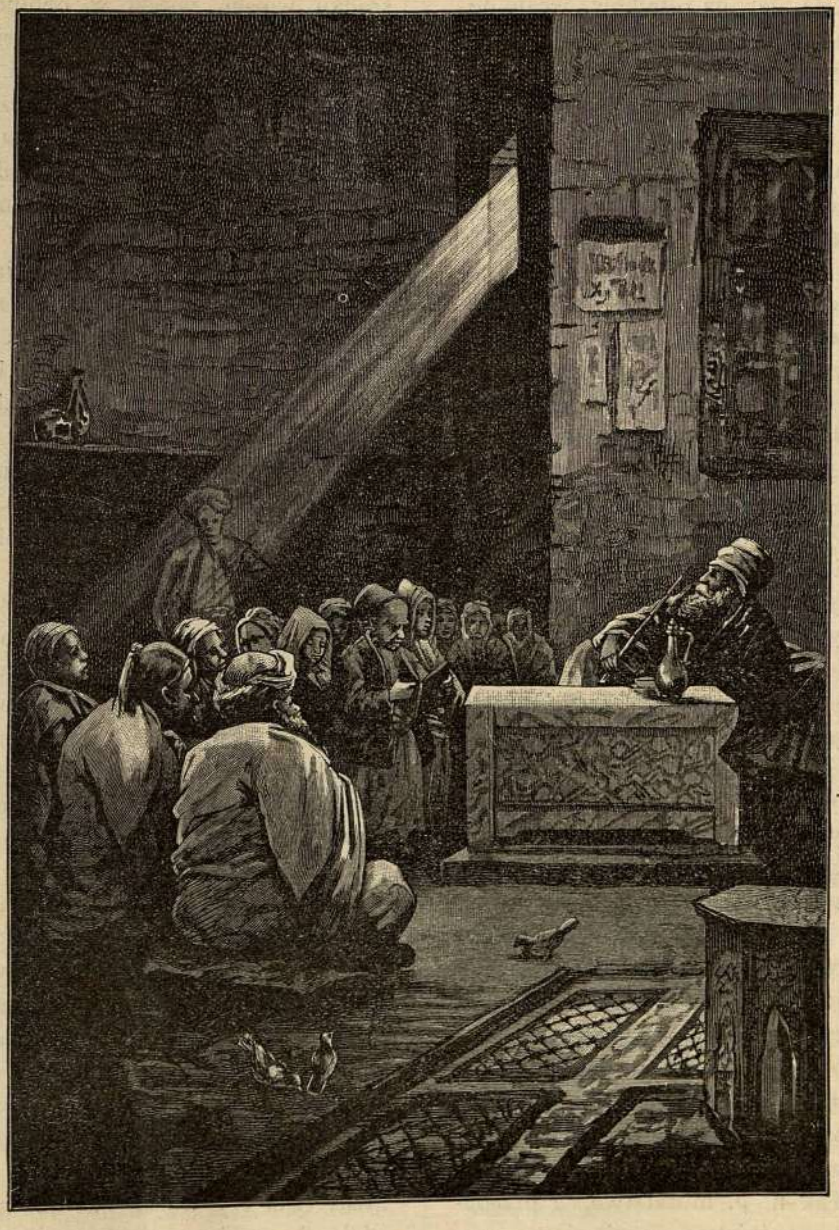

Afryka. — Szkoła w Marokko.

Stanowcze i śmiałe pośrednictwo Solimana poskutkowało. Kurt Basza odstąpił od swych pretensyi, nawet nie pisał o całem zajściu swej władzy najwyższej w Konstantynopolu. Achmet Basza był osobistym nieprzyjacielem Solimana Agi, więc i krok przyjacielski za Rzecząpospolitą zrobił raczej z chęci zemsty, niż z kurtuazyi względem Wenecyi. Pomimo tego chciał skorzystać z dobrej okazyi uzyskania jakiejś nagrody. W tym celu zwierzył się ajentowi weneckiemu Bucchia, że chciałby nabyć zegarek, *naturalnie za pieniądze*. *Provveditore* Grimani, zawiadomiony o tych, co prawda bardzo skromnych pragnieniach Solimana, posłał mu zaraz to, czego pragnął,

naturalnie bezinteresownie. — W ten sposób sprawa 150 Albańczyków, grożąca wojną, pokojowo została załatwioną... kieszonkowym zegarkiem [1]).

Wszystkich emigrantów, razem z kilkoma osobno przybyłymi, było w Borgo Erizzo r. 1733 około 344, nie licząc zamieszkałych w Zemoniko. Liczba to dosyć pokaźna, wszyscy mieli się, jak na rolników, wcale dobrze pod względem finansowym, zaczęli więc myśleć o osobnej parafii i własnym kościółku. Arcybiskup Zmajewicz jaknajprzychylniej przyjął zamiary swych dawnych dyecezyan antiwarskich i poparł takowe w senacie weneckim. Rząd bez trudności dał dotacyę dla proboszcza, a Arcybiskup wybrał jednego z kapłanów, znającego i język i stosunki albańskie.

Nowi parafianie ze zwykłą sobie energią zabrali się do budowy, bardzo prostej konstrukcyi, lecz fundamentalnego, z ciosanych kamieni kościółka. Obok stanęła zakrystya i mieszkanie dla proboszcza, a z takim pospiechem budowano, że już wszystko wykończono w następnym roku 1734, jak nam tłómaczy napis tablicy pamiątkowej, wmurowanej w kościół, tytułu Matki Boskiej Loretańskiej.

Bliskość miasta i bardzo prędki wzrost ludności w Borgo Erizzo, zmusiły jego mieszkańców do szukania zarobku w przemyśle i handlu, ponieważ dotychczasowe grunta już nie wystarczały na utrzymanie. Zrazu zajmowano się murarstwem w mieście, następnie zdarzyła się sposobność do handlu, a jak z niej umieli skorzystać Albańczycy, warto się przypatrzyć. Oto wybuchła w okolicach Zary jakaś zaraza. Ówczesny *provveditore generale*, Piotr Micheli kazał wystawić w Borgo Erizzo tak zwane »przestanki«, t. j. miejsca zamknięte na odbycie kwarantanny dla ludności przybyłej z okolic z towarami spożywczemi dla miasta. Napływ wieśniaków był bardzo liczny, a ponieważ wszyscy musieli się zatrzymywać nieraz czas dłuższy, więc Albańczycy wystawili dla nich oberże ze sprzedażą wina i ułatwiali zbycie towarów, załatwiali ich interesa i t. p. Raz wprowadzona praktyka w czasie epidemii, utrwaliła się i nadal. Borgo Erizzo wskutek tego rosło w bogactwa nawet z uszczerbkiem miasta i sąsiednich rolników. Były podobno nawet jakieś obostrzenia, lecz koniec końców, do dziśdnia koloniści mają swe przywileje na pewne roboty lub rzemiosła. Tak n. p. murarstwo, a przedewszystkiem u mężczyzn rzeźnictwo, u niewiast wyrabianie plecionek z sitowia na flaszki, sławnego likworu dalmatyńskiego, zwanego »maraskinem« są prawie wyłącznie w ich ręku. Niektórzy sprytniejsi prowadzą z Włochami i Francyą handel na wielką skalę bydłem i trzodą, skórami, zbożem i t. p., nigdy jednak rybami, bo morze w ogólności albańskiego górala nie nęci i do dzisiejszego dnia, chociaż już drugi wiek nad niem mieszkają, dotychczas jeszcze zachowali doń wstręt dawny.

Pomimo wszystkich przeszkód etnograficznych i materyalnych, dotychczas swoim ojczystym językiem dosyć dobrze mówią i prawie wyłącznie używają go między sobą. Ci, którzy są bliżej kościoła i jakby w samem środku wioski, więcej w ogólności zachowują dawne albańskie zwyczaje, niż biedniejsi, żyjący nieco w dali. Dawnemi czasy *vendetta* była i tu znaną, lecz dzisiaj zaledwie z historyi o niej wiedzą, bo rząd austryacki trzyma w karbach i nie dozwala na wybryki krwawe. Uczty pogrzebowe, podobnie jak u ich ziomków pod zaborem tureckim, tak i tutaj istnieją, chociaż na mniejszą skalę.

Proboszcz tamtejszy opowiadał mi, że obecnie na 2000 jego parafian tylko cztery rody zachowują wszystkie tradycyjne zwyczaje najskrupulatniej, inni pod tym względem już się wyrodzili. W każdym razie nabożeństwo do św. Mikołaja jest tu takie same, jak w Albanii, gdy proszą proboszcza na obiad lub wieczerzę, musi w tym domu odmówić nieszpory za zmarłych członków rodziny; zawiązują się jeszcze »pobratymstwa«: po Mszy świętej przed ołtarzem, kandydaci piją z jednego kubka wino, lecz bez krwi jak w Albanii — tasama tworzy się odtąd między nimi zażyłość, wzajemne zobowiązania, a nawet jakby pokrewieństwo, które tylko śmierć jest w stanie rozerwać na ziemi.

Z podniosłem uczuciem opuściłem potomków dawnych męczenników — miłe pozostawił wspomnienie gorliwy i zacny proboszcz Don Sime, więc niech tych słów kilka świadczy o mej dla nich sympatyi i dobrej pamięci.

IV.

Na pokładzie parowca »Tritone« w drodze do Sebenika.

Po kilkudniowym pobycie w Dalmatyńskiej stolicy znowu znalazłem się na pokładzie »Tritona«. Brzydki to statek, czarnożółty, wązki, długi, zdawało mi się, że koniecznie będzie się kołysał i usposobi do morskiej melancholii. Tymczasem ruszył z miejsca wolno, łagodnie, później coraz prędzej, ani się nie czuło, jak sunął po morzu, zresztą widoki nie dozwoliły się nudzić. Miasteczka czy wioski nadbrzeżne tak blizkie morza, że zdają się w niem tonąć, to znowu wysepki maleńkie, porosłe oliwkami, chrysancyą, jałowcem, winną latoroślą, wyglądają jak oazy na szerokiej modrej pustyni, a oazy to piękne, starannie uprawiane przez ludność pracowitą, pół rybacką, pół rolną. Tu i owdzie wznosi się kapliczka z wizerunkiem lub statuetką Matki Najśw., tam chałupka rybacka, to znowu trzódka kóz i owiec się pasie pod strażą dzieci, które nie wiele zdają się mieć o nie starania, bo w żabim stroju skaczą ze skały w morze, zanurzą się, aby po chwili znowu na ląd wyskoczyć i tęsamą zabawę powtórzyć. Łodzie rybackie

[1]) Zob. Archiw. Namiest. Zar. *Grimani Zorzi*, Vol. VI, k. 310 i *Grimani Zorzi dispacci*, Vol. VI, k. 83 i 84. (Własność bibliot. gimnazyalnej w Zarze).

z rozpostartemi białemi żaglami przesuwają się zwolna, a za każdą płynie malutka łódka na jednę osobę, potrzebna do zaciągania sieci.

Opowiadano mi, że pewien góral pytał kogoś z nadmorskich okolic, poco do wielkiej łodzi zawsze uwiązana mała? — »To jej córeczka — brzmiała odpowiedź — gdy wyrośnie, jeszcze szybciej pobiegnie po morzu, niż jej matka rodzona«. Za powrotem w góry, opowiadał to dziwne zjawisko. Jedni mu wierzyli, inni się zeń śmiali.

Na pokładzie statku, chociaż nie liczne, ale interesujące miałem towarzystwo dwu księży kroackich, kanonika Antoniego Karabaic'a i proboszcza, czyli żupnika z Ravia.

Rozmowa naturalnie toczyła się o stosunkach miejscowych religijnych. Między innemi mówili, że tam gdzie używają przy Mszy świętej mszałów głagolickich, tam jest więcej katolików, przeciwnie zaś, gdzie je zastąpiono mszałami łacińskiemi, tam znacznie więcej jest wyznania grecko-orientalnego.

— Jakaż zachodzi różnica — pytam mych towarzyszy — w odprawianiu Mszy świętej w głagolicy od łacińskiej liturgii?

— Żadnej różnicy niema; wszystko tak samo odprawia się, jak we Mszy łacińskiej, z tą tylko różnicą, że mszały rzymskie są przetłomaczone na język starosławiański i drukowane czcionkami, zwanemi głagolicą.

— W takim razie, we właściwem znaczeniu liturgii głagolickiej niema?

— Niema zupełnie; dlatego nasz ryt, nazywa się sławiańsko-łaciński.

— Proszęż księży mi wytłomaczyć, zkąd się właściwie wziął ten ryt w Dalmacyi, boć przecież jest tu jeszcze inny ryt słowiański, wprowadzony przez św. Cyryla i Metodego, dlaczegóż aż dwa są sławiańskie ryty na jednej ziemi?

— Rzecz to dosyć zawiła, wybacz więc ksiądz, że dla wytłumaczenia cofnę się nieco w przeszłość. W pierwszych wiekach Chrześcijaństwa, gdy Apostołowie i ich następcy głosili słowo Boże, odprawiała się Msza święta zawsze w tym samym języku, jakim mówiła ludność świeżo przyjmująca wiarę Chrystusową. Św. Tomasz z Akwinu mówi w tym względzie: *In primitiva Ecclesia insaniam fuisse si quis ignota lingua preces dixisset, quia tunc fuerint rudes in ritu ecclesiastico nescientes quae fierent sibi.* Dlategoteż pierwsza Msza św. w Jerozolimie i wogóle u palestyńskich żydo-chrześcijan odprawiała się, jeżeli nie w ówczesnym dialekcie ludowym chaldejskim, to w każdym razie po hebrajsku; następnie, gdy wiara święta poczęła się szerzyć, w państwie Rzymskiem odprawiano Mszę świętą stosownie do potrzeby w języku łacińskim lub greckim, gdzieindziej po etyopsku, koptycku, armeńsku i t. d.

Podobnie działo się i w Dalmacyi. W tych miejscowościach, gdzie była przyjętą od dawnych czasów kultura rzymska, wprowadzono do Mszy świętej język łaciński, jako znany tamtejszym pierwszym wiernym, tam zaś, gdzie język łaciński nie był znany, dla łatwiejszego nawrócenia ludności i utwierdzenia ich w wierze, tłomaczono mszały łacińskie na język słowiański i podawano w używanej podówczas głagolicy do użytku kościelnego. W ten sposób ludność słowiańska w braku książek a może i nauk przynajmniej podczas Mszy św. dowiedziała się co za tajemnice w sobie zawiera.

W pierwszej dobie Chrześcijaństwa baczono więcej w liturgii na treść podawanej nauki. W późniejszych czasach, gdy dla ocalenia jedności treści zaszła potrzeba bliższego określenia modlitw, jakie mają się odmawiać podczas Mszy świętej, ustalono liturgię nietylko co do treści, ale i co do formy. Roztropność jednak Kościoła nakazywała, aby dozwolić na zatrzymanie pewnych różnic liturgicznych, nie zmieniających treści nauki, jakie z czasem się utworzyły w odprawianiu Mszy św., zastrzeżono jednak, aby nadal zmian żadnych nie robiono. Ztąd powstały pewne stałe liturgie w kościele katolickim, które się dotychczas zachowały, chociaż język od tego czasu znacznie się zmienił, jak n. p. armeński, koptycki, etyopski.

Gdy w połowie IX wieku św. Apostołowie Cyryl i Metody przyszli ze Wschodu na opowiadanie Chrystusa w ziemiach słowiańskich, głównie do Panonii i dalej na północ, przynieśli ze sobą liturgię grecką. Mszały przez siebie używane przetłomaczyli na język słowiański, ztąd powstała liturgia *grecko-słowiańska,* spisana głoskami zupełnie nowemi, od ich twórcy nazwanemi Cyrylicą. Nowo nawróceni przez nich Słowianie, otrzymali więc nietylko Mszę świętą w języku słowiańskim, ale i liturgię odrębną od łacińskiej, mianowicie grecką. W Dalmacyi już poprzednio było dużo chrześcijan używających mszałów łacińskich lub głagolickich. W ten sposób na tej ziemi słowiańskiej trzy odrębne mszały poczęto używać: dla rytu łacińskiego i słowiańsko-łacińskiego, łacińskie lub głagolickie, a dla rytu grecko-słowiańskiego, cyrylickie.

— W takim razie pismo głagolickie zdaje się być wcześniejsze od cyrylicy? — pytam kanonika K., uczonego liturgisty.

— Gdy św. Cyryl i Metody głosili Ewangelią, głagolica była już używaną u nas, kto ją jednak ułożył, nie umiem księdzu powiedzieć. Jedni twierdzą, że jeszcze św. Hieronim, lecz zdaje mi się to nieprawdziwem, bo Słowianie najprawdopodobniej na stałą siedzibę dopiero później przybyli do Dalmacyi, a najstarsze nasze pomniki głagolickie są słowiańskiemi i nigdy nie było żadnego głagolickiego języka, tylko słowiański głagolicą pisany.

— Czy dawno już jak rzymscy Papieże zatwierdzili użycie głagolicy w rycie łacińskim? — pytam dalej

coraz więcej zaciekawiony nowemi dla mnie wiadomościami.

Już Adrian II (867—872) o niej wspomina, zatwierdził ją Jan VIII w IX wieku, Innocenty IV r. 1248, Urban VIII dla braku głagolickich mszałów, kazał je na nowo drukować w poprawnem wydaniu, Innocenty XI każe wydać w głagolicy brewiarze, zatwierdza tożsamo Benedykt XIV, podając zarazem przyczynę *ut omnes catholici sint, non ut omnes latini fiant, est neccessarium*. Zresztą i Leon XIII kazał obecnie drukować mszały głagolickie w drukarni Propagandy [1]).

Niestety, u nas w użyciu tych mszałów nie panuje jednostajność. Około 100 proboszczów w Dalmacyi i Istryi mają pozwolenie od Stolicy świętej lub od biskupów, używania ich podczas Mszy świętej, lecz jedni codziennie, inni tylko w niedzielę i dnie świąteczne. Czasami się zdarza, że podczas Mszy uroczystej, to co kapłan śpiewa, czyta z głagolickiego słowiańskiego mszału, to co się pocichu odmawia, czyta po łacinie. Co gorsza, niektórzy kapłani w tych parafiach, gdzie od dawien dawna odprawiała się Msza św. po słowiańsku w braku znajomości starosłowiańskiego języka i głagolickich liter, czytają ludowi Lekcyę, Ewangelię i modlitwy w tłómaczeniu nowo-słowiańskiem i literami łacińskiemi, resztę po łacinie. Ta mieszanina języków podczas liturgii łacińskiej, lub jej regulowanie, daje nie-

Tunetania. — Gazele komendanta Lefebvre w Gafsie. (Zob. art. »Z Kartaginy do Sahary«).

jednokrotnie okazyę do bardzo drażliwych rozdwojeń umysłów i demonstracyi najszkodliwszych dla religii, zwłaszcza że na tej samej ziemi są ludzie, kościoły i kapłani innego wyznania, używający jednak wyłącznie liturgii grecko-słowiańskiej [2]).

Gdy tak rozmawiamy o stosunkach religijnych w Dalmacyi, nasz »Tritone« zbliżył się do fantastycznego zamku Walaresso, wystającego wśród morza, to znowu do rozkosznych wiosek Torrette, San Filippo, do starożytnej rzymskiej Blandony, przez Sławian zwanej Belgradem, przez Wenecyan Zaravecchią, położonych nad samem wybrzeżem, w oddaleniu wzajemnem zaledwie paru kilometrów. I tutaj znowu myśl się przeniosła w przeszłość tej małej dzisiaj mieściny, kiedy w połowie wieku XI Piotr Kreszimir IV, król Kroacyi, uposażał w Belgradzie klasztor Benedyktynów, a nawet jak twierdzi tradycya, on założył tu siedzibę biskupów, chociaż już dawniej i to bardzo dawno, bo za czasów apostolskich, wiara chrześcijańska była tu ogłoszona przez św. Tytusa.

Roku 1097, Basita, córka Ruggera I, hrabiego Sycylii i Draczu, a żona Kolomana, króla Węgier, zawitała do Belgradu, a w pięć lat później tenże Koloman znowu tu przybywa jako król Kroacyi i Dalmacyi, łącząc je w jedno państwo ze swojem dziedzicznem węgierskiem. Chwile radości i wesela przyćmiewa w roku 1225 zdobycie Belgradu przez wodza weneckiego Dominika Michaela, który go spalił i zburzył do szczętu, gdy mieszkańcy nie chcieli przyjąć na siebie weneckiego

[1]) Wyszły one z druku r. 1893 głównie dla archidyecezyi antiwarskiej w Czarnogórze.

[2]) Porównaj: *Archiv für katholisches Kirchenrecht.* Herausgegeben von Dr Friedrich H. Vering, 1893, VI Heft. p. 406—414. *Der slavisch-lateinische Ritus und die glagolitische Frage.*

jarzma. Część mieszkańców z duchowieństwem i biskupem chroni się do pobliskiej Skardony, inni uciekają do Sebeniko, OO. Benedyktyni przenoszą się na przeciwległą wyspę Pasman i tamże w Ikonie wznoszą dziś jeszcze istniejący klasztor. Tak minęła świetność dziejowa dalmatyńskiego Belgradu i już nie miała nigdy powrócić [1]).

Jeszcze parę kilometrów statek się posuwa całą siłą pary, poczem zwalnia biegu i ostrożnie zakreśla pewne linie na morzu, aby ominąć pasma gór podwodnych w wązkim kanale, między wyspą Morter a stałym lądem. Nad brzegiem leży miasteczko Stretto, nazwę swą otrzymało z włoska od wązkości tego miejsca, broni je stary fort wenecki San Nicolo, mieszczący w swych podziemiach wilgotnych więzienia, niejednokrotnie zaludniane rozmaitą narodowością w różnych epokach walk i konspiracyi politycznych.

Wjeżdżamy we wspaniały amfiteatralny port Sebenicki. Wieniec wysp, wysepek i skoliów broni doń przystępu od strony morza, miasto pod górę się piętrzy, a nad niem dominują na szczytach trzy twierdze, jedna

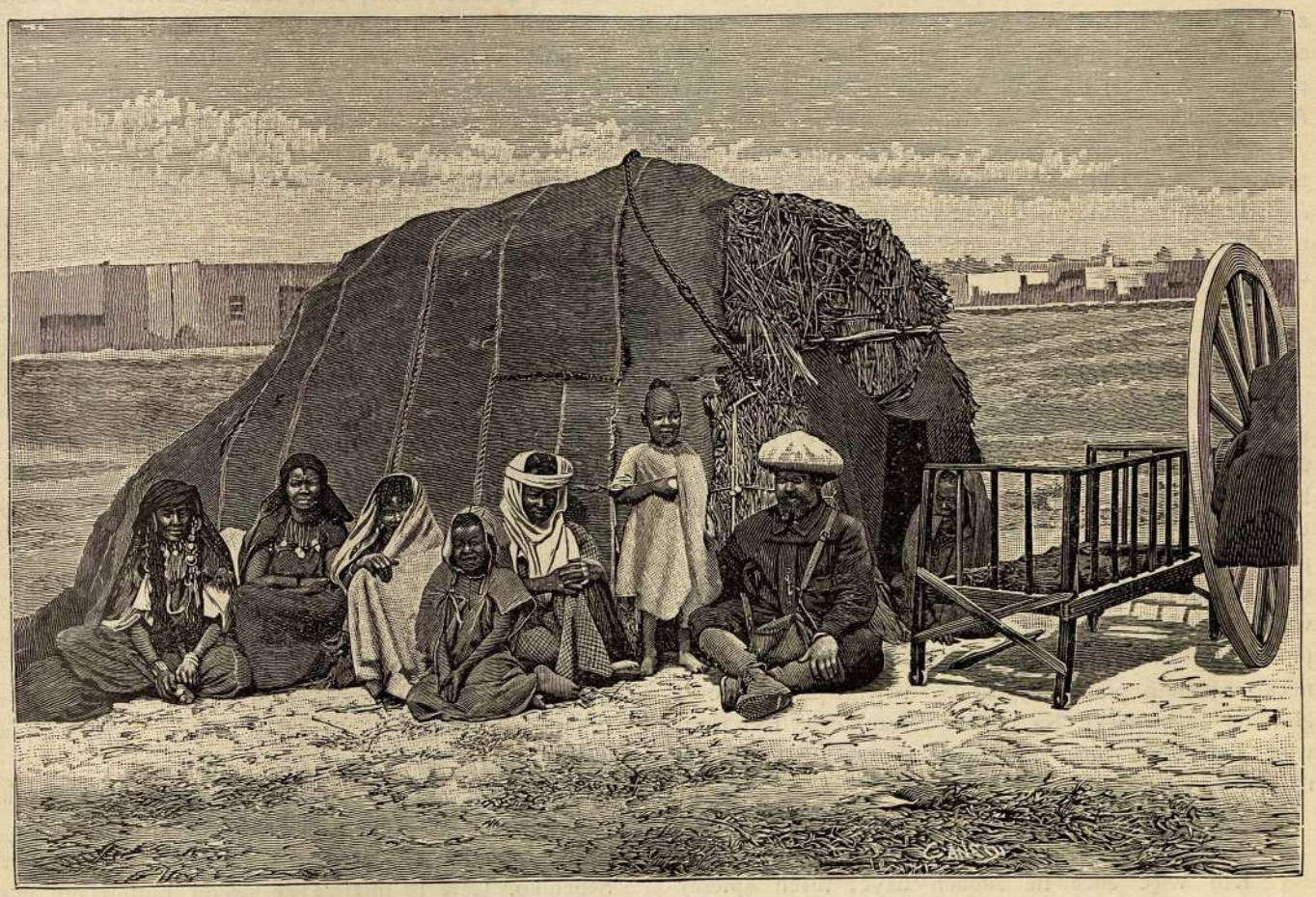

Tunetania. — Szałas koczowników z Menzelu koło Gabesu; podług fotografii p. Hébrarda.

obok drugiej: św. Anny, św. Jana i Marmonta, strzegąc wstępu od wschodu, od strony bośniackiej, dawniej tureckiej. Czy i dziś mają znaczenie strategiczne, sądu nie wydaję, w każdym razie bardzo zdobią miasto, a sam ich widok na przybyszu morskim, potężne i dodatnie robi wrażenie.

V.

Sebeniko.

Sebeniko, jak każde miasto dalmatyńskie, cieszy się historyczną sławą, wojen, napadów, oblężeń. I tutaj na scenę występują Kroaci, Węgrzy, Wenecyanie, udzielni książęta, nawet bizantyńscy cesarze. Już w wieku XI sławnem było miastem, jak świadczą o tem dwa przywileje tamże spisane przez Wielkiego Kreszymira IV r. 1066 i ostatniego króla Kroatów Stefana II. Po śmierci Kolomana wódz wenecki Ordelaf Faletro, który prawie całą Dalmacyę Węgrom odebrał r. 1116, nie mogąc prośbą skłonić Sebeniczan do uległości Rzeczypospolitej weneckiej, siłą zdobył warownię i zburzył mury miasta.

Gdy w r. 1124 flota wenecka wyruszyła do Syryi na wojnę krzyżową, Stefan II, syn Kolomana, odzyskał dla swej korony większą część miast dalmatyńskich, a między innemi także Sebeniko. Lecz już w dwa lata

[1]) Zob. Daniela Farlati *Illiricum Sacrum*, Vol. IV p. 1—5.

później, tensam Dominik Michael, który Belgrad zburzył, za powrotem z wyprawy syryjskiej odebrał utraconą zdobycz, jednak nie na długo, gdyż już r. 1167 za Stefana III znowu pozostaje w rękach węgierskich i otrzymuje rozległe przywileje miast większych, podobnie jak Spalato i Trau (Trogir). Jak były one cennym nabytkiem, okazuje się znowu z faktu, że Emmanuel, cesarz wschodniego państwa skusił się, acz nie na długo, zdobyć to miasto wraz z kilku innymi Dalmacyi [1]).

W r. 1301 Karol, król Neapolu, obiecuje tutejszym mieszkańcom protekcyę i przywileje w handlu z Włochami, byleby mu zaprzysięgli wierność. Sebeniczanie odrzucają propozycye, ponieważ żył jeszcze ich protektor Andrzej III, król Węgier, ostatni z dynastyi Arpadów.

W późniejszych czasach Sebeniko otrzymuje weneckiego rektora (1342), lecz ma własną załogę i rządzi się własnemi statutami, dopokąd traktat w Campo-Formio nie łączy go, jak inne miasta Dalmacyi z monarchią Habsburską.

* * *

Kanonik Karabaić razem wysiadł ze mną na ląd i zaprowadził do hotelu, jak na siedmiotysięczną ludność Sebenika, bardzo dobrego i czystego. Wybierał się do swego krewnego starosty w Kninie, dawnej stolicy kroackiej i mnie do siebie zaprosił, lecz dla mego towarzystwa jakiś czas pozostał, aby pokazać sebenickie piękności. Pierwsza wizyta, nie estetyczna ale konieczna, w restauracyi, jedynej, możliwej. Szliśmy po zaułkach, wązkiemi uliczkami, bezustannie schodami z góry lub pod górę, aż wreszcie stanęliśmy przed starym weneckim domem, pomimo prostoty, dziwnie pięknej i oryginalnej konstrukcyi. Na piętrze restauracya. Był post, więc zamawiam postne potrawy. Niestety zdobyli się na małe rybki.

— Co więcej macie? — pytam gosposię.

— Żaby — brzmiała odpowiedź.

Kto więc chce na żabach użyć, niech spieszy w dzień postny do Sebeniko.

Po sutej »żabiej« uczcie poszedłem do miejscowego X. Biskupa, sławnego jak mi mówiono archeologa. Niestety nie zastałem go w domu i nie mogłem korzystać z światłych jego słów. Później nieco widziałem jego artykuły drukowane *in notificationibus dioecesalibus*. — Prawdziwa to archeologia, bo prawie każde słowo, o którem mówi, wyprowadza z języka hebrajskiego, a niemal każdy pomnik lub kamyczek dalmatyński, jaki opisuje, odnosi do czasów biblijnych! — Wikaryusz generalny księdza Biskupa, a podobno w dyecezyi najwybitniejsza figura, O. Franciszkanin ułatwił nam pokazanie zamkniętej katedry, cuda architektonicznej piękności.

Styl budowy katedralnego kościoła, to mieszanina gotyki, renesansu, pod pewnym względem nawet ma w sobie coś bizantyńskiego. A jednak mimo tak sprzecznych ze sobą stylów, dziwna tu harmonia panuje. Przeszło wiek cały składał się na budowę świątyni (1443—1555). Na kilka metrów od ziemi zdobi zewnątrz dokoła wieniec z głów ludzkich, więcej jak naturalnej wielkości, a każda z nich inna, oryginalna, charakterystyczna. Przy bocznych drzwiach strzegą wejścia dwa lwy do siebie zwrócone, nad niemi na słupach o prześlicznej płaskorzeźbie, stoją Adam i Ewa. Ta ostatnia widocznie bardzo się wstydzi — i ma z czego, bo nie ubrana. Odrzwia zrobione z potrójnych, jedna nad drugą stojących kolumn, wszystko z marmuru. Główne wejście od strony północnej coś arcypysznego. Po obydwu jego stronach wieżyczki gotyckie z poczwórną galeryjką zgrabnych cienkich kolumn. Przy odrzwiach wystaje z jednej i z drugiej strony po 5 posążków Świętych Pańskich dobrego dłuta, a nad tem wszystkiem dwa okna gotyckie, okrągłe.

Tak zewnątrz jak wewnątrz prócz ornamentacyj marmurowych, cały kościół z ciosanego kamienia. Główną nawę oddziela od dwu bocznych, siedm wspaniałych gotyckich łuków, lecz jej sklepienie jest jednołukowe. Dokoła galeryjka obiega, łącząc się ukrytemi schodkami z pałacem biskupim. Presbyteryum na kilkustopniowem podwyższeniu, odgranicza od reszty kościoła marmurowa balustrada, podobnie jak w bazylice świętego Wawrzyńca w Rzymie za murami, starym zwyczajem dwie stoją tu ambonki dla czytania ludowi *Lekcyi* i *Ewangelii*. W podziemnym kościele, do którego schody prowadzą od wnętrza górnego kościoła, znajduje się marmurowa chrzcielnica. Cały układ budowy i ażurowa robota ornamentacyi, coś prześlicznego i godnego widzenia, nawet dla wybrednego znawcy.

Naprzeciw katedry, od strony północnej, na schludnym placyku wznosi się pałac wenecki w najlepszym stylu lombardzkim. Jest to najpiękniejszy dom w całem Sebeniko. Całe to miejsce ze swemi budowlami przypomniało mi nieco swoją układnością i pięknością linii wrażenie, jakiego doznałem, gdy się po raz pierwszy znalazłem na placu św. Marka w Wenecyi.

Wśród rozmaitych domków i pałacyków, jeszcze jeden zwrócił moją uwagę dla wielkiej marmurowej tablicy z napisem, że tu się urodził Mikołaj Tommaseo. Chociażby się w tem mylono, że Sebeniko pierwszem było miastem po Raguzie, w którem kwitnęły nauki na wybrzeżach dalmatyńskich, to jednak imię tego pisarza za sławę wielu wystarczy. Filolog, filozof, polityk, poeta, krytyk, historyk, statystyk, nawet nowelista i mowca, pozostawił po sobie po 52 latach literackiej pracy, całą bibliotekę dzieł znakomitych. Jego dykcyonarz synonimów wystarczyłby sam jeden na postawienie autorowi pomnika, a raczej powiedzmy, sam sobie go tem dzie-

[1]) Zob. *Farlati* l. c. Vol. IV, pag. 449.

łem wystawił. Urodzony w bieżącym wieku (1802) niedawno pożegnał tę ziemię, a może mało wie się o tem, że był Dalmatą, przynajmniej co do mnie, dotychczas zawsze go miałem za Włocha, we Włoszech urodzonego.

Wśród kilku sebenickich kościółków, franciszkańska bazylika OO. Konwentualnych jest godną widzenia. Pięknie przedstawia się sufit drewniany o naturalnym kolorze, a wśród jego kwadratów malowidła wcale dobrego pędzla, przedewszystkiem Wniebowzięcie Matki Boskiej, silne na widzu robi wrażenie i zdaje się jakby sklepieniem kościoła był strop niebieski. Kilka obrazów szkoły włoskiej w ołtarzach i jeden Matki Boskiej na drzewie malowany z epoki *cinquecenta*, są najcenniejszemi tutejszemi artystycznemi zabytkami.

W przyległym klasztorze, za mojem przybyciem wielka cisza panowała i skupienie ducha, bo się odbywała wizyta domu przez przełożonego prowincyi. Pomimo tego pokazano mi rzeczy godniejsze widzenia, między innemi archiwum klasztorne, pełne papierów i zwojów pergaminowych. Niektóre rękopisy pochodziły jeszcze z XIII wieku, oryginalne bulle papiezkie, dyplomy sięgające bardzo dawnej epoki, lecz nie umieli mnie zakonnicy bliżej określić, co za materyały mogą się kryć w tym archiwalnym pokoiku. Nie mając i czasu i ochoty połykać kurzu, bardzo starego, ledwie jeden lub drugi pergamin wziąłem w rękę, zresztą pozostawiam zaspokojenie ciekawości innym szczęśliwszym odemnie, którzy może odszukają tam jaki skarb ukryty, a nader cenny dla historyka i paleografa.

Z tego klasztoru przed 500 laty wyszedł mąż Boży, którego imię czci się dziś na ołtarzach. Był to bł. Mikołaj Taviglić, ze znanej i szanowanej tutejszej sebenickiej rodziny, zginął śmiercią męczeńską wśród srogich katuszy, zadanych mu przez mahometan, gdy śmiało i niewzruszenie wyznawał Chrystusa. Miał szczęście zginąć za swego Zbawiciela w temże samem co On mieście, bo w Jerozolimie [1]).

Mój towarzysz spieszył się w drogę do Kninu, więc go odprowadziłem piechotą kawał drogi za miasto bocznemi, wązkiemi ścieżkami. Zapuściliśmy się w zaułki, już raczej wiejskie jak miejskie i teraz dopiero mogłem poznać, co za bieda w mieszkaniach wieśniaków. Domki całe z gruzów, kamieni, literalnie jakby szałasy zrobione z głazów, bez komina, dym drzwiami wychodzi i szczelinami dachu i ścian. Gdybym własnemi oczyma nie widział, nie dałbym wiary, że tu ludzie mieszkają. Dokoła tych domków ogródki, lecz jakież drzewa chcą róść na opoce? Są więc tylko jakieś krzaki lub karłowate owocowe drzewka, zieleń ledwie gdzieniegdzie wyrasta z garstki ziemi kryjącej się w zagłębieniach kamieni. Gdzie okiem rzucę, wszędzie kamień i kamień. Zdziwiony tym widokiem, mówię do towarzysza, że się rozczarowuję.

— Nie trzeba z wybrzeży sądzić o całości Dalmacyi — odzywa się kanonik — musisz ksiądz koniecznie jechać do Kninu i poznać tamtejszą okolicę, a ona cię pewnie znowu odczaruje.

Szliśmy jeszcze parę minut pod górę i stanęliśmy na dworcu kolejowym. Rzecz dziwna: podczas gdy stolica Dalmacyi niema kolei, Sebeniko cieszy się drogą żelazną, łączącą je ze wschodu z Derniszem i Kninem, a od południa ze Spalato. Później zrozumiałem przyczynę komunikacyi. Okolica między Sebeniko, Spalato i Alpami Dynarskiemi najszersza, najurodzajniejsza i najbardziej ożywiona w całej Dalmacyi; od najdawniejszych czasów prowadzi tędy główny trakt z Bośnią, która swe płody tą drogą nad brzegi morskie wywozi i dalej okrętem w różne strony świata; nadto w Derniszu odkryto kopalnie węgla, co dla całego kraju ważnym jest nabytkiem, gdzie drzewa opałowego nieraz nawet za wysoką cenę dostać prawie niepodobna. Zresztą handel i przemysł w Sebeniko na małą skalę rozwinięty.

Łowienie ryb, korali i gąbek, pielęgnowanie drzewek wiśniowych na wyrób maraskina i morwowych dla jedwabników, wreszcie drzewek oliwnych i winnej latorośli, są najważniejsze zajęcia mieszkańców tutejszej okolicy. Produkcya zboża ledwie na miejscowe potrzeby wystarcza.

W czysto słowiańskiej wiosce Zablace (Zablakice), odległej o milę od Sebeniko, a tuż obok solnego jeziora »Soline« zwanem, uprawiają aloesy *(agave americana)*, a z ich włókien wyrabiają grube materye brunatne na guńki tutejszych włościan.

Widziałem ich w tym stroju, wyszywanym czerwoną, niebieską lub białą tasiemką, zdobnym nadto poczwórnym rzędem srebrnych guzików kolistych, bardzo misternej roboty. Jest to także wyrób tutejszych złotników i zdaje się, że odbyt mają wielki, bo powszechnie w całej Dalmacyi tego rodzaju ozdoba jest w użyciu u mężczyzn, nawet i u kobiet.

Na okolicznych wysepkach rośnie bardzo dobry gatunek wina, może najlepszy w całym kraju i mógłby śmiało współzawodniczyć z maderą lub malagą. Niestety, włościanie bardzo prymitywnie wyciskają jagody winne rozmaitych gatunków szlachetniejszych, mieszając z pospolitemi i wskutek tego wino dużo traci, a z niem i rolnicy, chociażby nawet mieli nabywców. Nadto w braku naczyń drewnianych, wożą go w kubłakach skórzanych, co bynajmniej nie przyczynia się do polepszenia smaku i zapachu tego nektaru.

W mieście i na przedmieściach najrozmaitsze typy spotkałem, od białej jak mleko i delikatnej cery aż do spalonych, bronzowych, prawie czarnych jak heban mężczyzn, robiących wrażenie przybyszy z środkowej Afryki. Jednych przykrycie głowy czerwone z frędzelkami

[1]) Zob. *Farlati* l. c. Vol IV, pag. 463.

czarnemi, płaskie, maleńkie jak dłoń, raczej płatek sukna przymocowany do włosów cienką tasiemką, inni we fezach, turbanach czerwonych, z małym warkoczem włosów z pod nich się wydostającym, lub w kołpaczkach czarnych, nizkich, jakie nosi ludność Czarnogórska. Kurtki brunatne, zielone lub granatowe, to znowu jakby nasze czamarki, wyszywane galonami złotemi, to szarawary tureckie szerokie, lub z węgierska obcisłe, kończące się wełnianą opaską o misternym deseniu, żółte lub czerwone safianowe trzewiki, na długich białych pończochach, dawniej codziennie, dziś już rzadziej bogate okucie strzelb, pistoletów, kindżałów za szerokim kolorowym pasem, wszystko to znowu myśl moją przenosi w daleki Wschód i każe zapomnąć, żem w Europie.

X. Marcin Czerminski.

(C. d. n.).

Dzieciobójstwo w Chinach.

Oddawna już niezliczone sprawozdania katolickich missyonarzy, stwierdziły, że dzieciobójstwo w Chinach jest faktem, nie podlegającym najmniejszej wątpliwości. Pojedyncze opisy tego okrucieństwa, skreślone przez apostolskich pracowników, obudziły najgorętsze współczucie całego katolickiego świata, a zwłaszcza dzieci, które zjednoczywszy się w Stowarzyszenie św. Dziecięctwa, połączyły swe usiłowania w celu ocalenia nieszczęsnych pogańskich braciszków i siostrzyczek. Gdy zaś nietylko turyści i missyonarze, ale nawet wielu uczonych badaczy zaznaczyło w naukowych swych pracach o Chinach, że dzieciobójstwo jest tam na porządku dziennym, nagle przed kilkoma laty cały świat ucywilizowany usłyszał ze zdziwieniem twierdzenie, które wszystkim poprzednim opisom niedoli dziatwy w Chinach, wyraźnie i nieodwołalnie zaprzeczało. Oto, znalazł się ktoś, co utrzymywał publicznie, że wszystko to jest kłamstwem i oszustwem, gdyż dzieciobójstwo w Chinach wcale nie częściej się zdarza, jak i w rozmaitych chrześcijańskich krajach, pojedynczym zaś wykroczeniom w tej mierze starano się zapobiedz za pomocą ochronek i przytulisk przed rząd chiński zakładanych. Wypływał więc ztąd wniosek, że sprawozdania missyonarzy są poprostu bajką, Stowarzyszenie zaś św. Dziecięctwa jest niczem innem, jak tylko spekulacyą opartą na łatwowierności ludu, a fundusze przez nie zebrane, zostają użyte nie na utrzymywanie ochronek, jak ogólnie utrzymywano, ale na rozmaite cele polityczne.

Autorem niecnej tej potwarzy był niejaki Franciszek Sarcey, który dnia 6 listopada 1875 r. ogłosił ją w szpaltach wielkiego paryzkiego dziennika *Le XIX siècle.*

Wkrótce potem ówczesny dyrektor Stowarzyszenia św. Dziecięctwa X. de Girardin oskarżył tego dziennikarza o oszczerstwo i dnia 23 grudnia 1875 r. zapadł wyrok, skazujący Sarcey'a na 1000 franków, właściciela dziennika About'a na 300 franków i drukarza Chaix na 100 franków kary.

Nie odstraszyło to jednak ani p. Simon'a, wydawcy *La Cité Chinoise,* ani p. T. Vinson'a, autora dzieła o nowożytnych religiach, obaj bowiem poruszyli niebawem kwestyę dzieciobójstwa w Chinach z nieprzyjaznego dla missyonarzy stanowiska. Do nich też przyłączył się jako wierny sprzymierzeniec p. Czeng-ki-Fong, attaché wojskowy przy poselstwie chińskiem w Paryżu, który w *Revue des Deux Mondes* (r. 1884 maj, czerwiec, lipiec) stanął w obronie swego narodu przeciw europejskim uprzedzeniom i mówiąc o dzieciobójstwie wpośród Chińczyków, w następujący wyraził się sposób:

»Pewne europejskie przysłowie głosi, że kłamstwo i potwarz, choćby najniesprawiedliwsza, rzuca zawsze pewien cień na osobę, która padła jej ofiarą«.

O słuszności tego przysłowia, dodaje Czeng-ki-Fong, świadczy najlepiej zabawne uprzedzenie o dzieciobójstwie w Chinach, istniejące oddawna w Europie. Potwarz taka mogłaby się zrodzić jedynie w chorobliwej jakiejś wyobraźni, tembardziej więc powinnoby zdumiewać jej rozpowszechnienie wbrew twierdzeniom wielu podróżników, którzy dotarłszy do krańców Wschodu, oddawna fałsz jej zadali [1]). Następnie uczony Chińczyk broni spotwarzonych swych rodaków za pomocą następujących argumentów. Najprzód miłość rodzicielska jest wrodzoną zarówno Chińczykom jak i Europejczykom, nieliczne zaś wyjątki w tej mierze nietylko w Chinach, lecz i w Europie się zdarzają. Powtóre materyalna nędza Chińczyków, poczytywana za główne źródło barbarzyńskiego tego zwyczaju, nie jest wcale tak wielką,

[1]) Rzeczywiście wielu podróżników nie zdołało znaleść w Chinach żadnego śladu tak barbarzyńskiego zwyczaju, wyjaśnienie jednak tego faktu znajdujemy w następujących słowach, skreślonych w roku 1855 przez O. Pingrenom'a z naszego Zakonu, missyonarza w Zi-ka-wei (Kiang-Nan) do swoich rodziców w Europie:

»Zapytujecie mię, czy to prawda, że tutejsi rodzice wyrzucają własne dzieci do rzeki, lub też na ulicę, gdzie zostają pożarte przez dzikie zwierzęta. Niestety, okropny ten zwyczaj niezaprzeczonym jest faktem«.

Dalej missyonarz opowiada kilka wypadków, których sam był świadkiem i dodaje:

»Muszę jednak zaznaczyć, że wstrętny ten zwyczaj nie wszędzie i nie w jednakowym stopniu zdaje się istnieć. Tak naprzykład w przeciągu lat trzech mieszkałem w pewnej prowincyi, gdzie dzieciobójstwo jest prawie nieznane, a to dlatego, że ludność miejscowa cieszy się względnym dobrobytem. Tu jednak gdzie przebywam obecnie i gdzie mieszkańcy po większej części są ubodzy, występek ten nader często się powtarza. Z łatwością więc można zrozumieć dlaczego wielu podróżnych zwiedziło pewną część Chin, nie napotkawszy ani jednego zamordowanego lub wyrzuconego dziecięcia. Nie upoważnia to jednak wcale do zaprzeczania faktom, widzianym przez innych, lub też do odmawiania wiarogodności słowom missyonarzy i posądzania ich o dobrowolną przesadę«.

jakby się zdawać mogło, dzięki zaś państwowym i filantropijnym zakładom, przyszłość najuboższych nawet dzieci dostatecznie zabezpieczona została. Po trzecie, w Chinach istnieją prawa, wyznaczające surowe kary na wyrodnych rodziców, tak, że niepodobna nawet przypuszczać, aby dzieciobójstwo mogło być tam na szeroką rozpowszechnione skalę. Wreszcie przyszłość młodzieży żeńskiej zabezpiecza tam oddawna istniejący zwyczaj wybierania dla każdego nowonarodzonego chłopczyka przyszłej towarzyszki życia w takim samym wieku, która aż do chwili zamążpójścia pozostaje w domu rodziców swego narzeczonego.

Po tak wyczerpującej obronie czci swojego narodu p. Czeng-Ki-Fong z prawdziwie chińską grzecznością poczytuje sobie za obowiązek, wyrazić przy końcu swej pracy gorące uznanie dla działalności Stowarzyszenia św. Dziecięctwa.

»Zresztą, dodaje, nie przeczę wcale, że missyonarze z jałmużn otrzymywanych od dzieci, zakładają w Chinach szkoły i szpitale, które uboższej warstwie

Tunetania. — Nad rzeką w Gabesie. (Zob. str. 72).

ludności wielki przynoszą pożytek i nie zamierzam bynajmniej ganić Stowarzyszenia, świadczącego ludzkości wiele dobrodziejstw«.

Powyższe targnięcie się na dobrą sławę i uczciwość wielu świątobliwych mężczyzn i kobiet, oraz zuchwałe zaprzeczanie faktu, nie ulegającego tak samo wątpliwości, jak to, że Chińczycy noszą warkocz, jest tak niesmaczne, a nawet potworne, że nie należałoby wcale zwracać na nie uwagi, gdyby nie nastręczało nam ono sposobności przedstawienia w należytem świetle nieuczciwej i przewrotnej taktyki naszych nieprzyjaciół. Chodzi więc przedewszystkiem o wykazanie na podstawie bezstronnych i wiarogodnych świadectw, że dzieciobójstwo istniało w Chinach oddawna i dotąd jeszcze istnieje. Zadania tego dokonał w ostatnich czasach znakomity uczony Monsgr. de Harlez, profesor uniwersytetu w Lowanium, z którego obszernej pracy, umieszczonej niedawno w Roczniku *Dublin Reviev*, czerpiemy większą część szczegółów, służących za osnowę niniejszego artykułu.

»Co się tyczy dzieciobójstwa, pisze zasłużony ten badacz, to decydujący głos w tej mierze pozostawmy samym Chińczykom, którzy wielu cennych dostarczą nam świadectw. W obecnej chwili mamy przed sobą cały szereg dokumentów, których wiarogodność i autentyczność najmniejszej nie podlega kwestyi. Są to edykta

cesarzy chińskich i ich prefektów, wyciągi z książek treści etycznej, rozpowszechnionych w całych Chinach, oraz chińskie gazety i illustracye wydawane w celu wykorzenienia barbarzyńskiego tego zwyczaju z łona chińskiej ludności za pomocą gróźb, rad i obietnic...«

Naturalnie nie wiele możemy tu przytoczyć z tak olbrzymiego materyału, ale ta drobniutka nawet cząstka pozwoli nam osiągnąć całkowicie cel, jakiśmy sobie wytknęli.

1) Przedewszystkiem nasuwa się pytanie, jak wielcy mędrcy chińscy i religijni filozofowie na dzieciobójstwo się zapatrują. Należy przyznać, że wszyscy jednogłośnie potępiają barbarzyński ten zwyczaj, dokładając zarazem wszelkich usiłowań w celu obudzenia doń wstrętu w sercach swoich rodaków. — Weźmy naprzykład do ręki księgę, napisaną przez adeptów szkoły Tao-tse. Nosi ona szumny, prawdziwie chiński tytuł: *Gan-szils-tan-czukia,* to jest »Komentarz o świetle w domu ciemności« co ma oznaczać »Zasady wiedzy«.

»Okrutni ludzie! — woła autor do wyrodnych rodziców — którzy bez litości słuchacie kwilenia biednych swoich dzieci, przeczuwających smutny los, jaki niebawem je spotka. Czyż nie zadrży wam serce w chwili, kiedy je utopicie w naczyniu, napełnionem wodą?... O nieba! O ludzie!... Niebo chce życia niewinnych tych istot, ludzie zaś pragną ich śmierci. Każdy jednak, kto zabijając człowieka, przekracza wolę niebios, sam zasługuje na śmierć. Nieprzyjaciele nawet nie mogą mordować się nawzajem, bez ściągnięcia na siebie zemsty ze strony duchów. Rodzina, która nie chcąc wychowywać swych córek, bezlitośnie je zabija, powinna zniknąć z powierzchni ziemi, powiada przysłowie. Gdyby na całym świecie istniał okropny ten zwyczaj, to niebawem zupełnie zabrakłoby dziewcząt, a wówczas kogóż mężczyźni braliby za żony? W taki sposób cała ludzkość skazanąby została na zagładę. Jeżeli ani tygrys, ani wilk nie wyrządza swym małym nic złego, to czyż jeden tylko człowiek może nie znać uczucia litości dla własnych swych dzieci? Czyż może on stać niżej od najdzikszych zwierząt, nie mordujących nigdy własnego potomstwa?«

Po wielu podobnych perorach, autor pragnąc wywrzeć głębsze jeszcze wrażenie na umysły czytelników, wprowadza na scenę bożka Wen-czang-te-Kiun'a, który opowiada, że widział w piekle niezliczone gromady nieszczęśliwych istot, strąconych tam na zawsze za to, iż pozwoliły na zamordowanie swych córek, a nawet topiły je same. Wszystkie powyższe ustępy każą się domyślać, że chodzi tu o występek głęboko zakorzeniony wśród ludności, przeciw któremu zdrowa filozofia z całą stanowczością występuje. Zresztą nawet w najbardziej popularnych dziełach, jak naprzykład książkach szkolnych, znajdujemy podobne przestrogi w najrozmaitszy wypowiadane sposób.

Oto, co głosi w tej mierze księga *Hio-tang-kiang-Ju* czyli nauka moralności dla szkolnego użytku: »Czy kobieta zasługuje na pogardę i czyż wasze matki nie są także kobietami?... Jeżeli mówisz że jesteś tak ubogi, iż nie możesz wychowywać swych dzieci, pomimo tego wiedz, że każde z nich ma prawo do pewnej cząstki twego mienia, wystarczającej na jego utrzymanie...« Dalej zaś nieco czytamy tam znowu: »Każda kobieta, która utopi dziewczynkę, wywołuje przez to śmierć jednego chłopczyka, jeżeli więc zamorduje dwie córki, to później za karę straci dwóch synów. Mężczyzna zaś, który nie będzie starał się przeszkodzić okrucieństwu niegodziwej żony, umrze o dziesięć lat pierwej, niż mu pierwotnie było przeznaczone. Tażsama kara spadnie również na sąsiadów, którzy nie będą się starali zapobiedz spełnieniu tej zbrodni«.

W innej księdze, noszącej tytuł *Kio-tang-jih-kai,* to jest codzienne czytanie dla szkół, mieszczą się przerażające lub humorystyczne przykłady i opowiadania, których celem jest również zniechęcenie przyszłych ojców i matek rodzin do dzieciobójstwa. Między innemi znajdujemy tam opowiadanie o pewnym ubogim literacie, imieniem Czen-Czas-Kiang, który pomimo niejednokrotnych usiłowań, nie mógł nigdy zdać pomyślnie państwowego egzaminu. Stroskany literat zwrócił się wreszcie do »nieśmiertelnych«, prosząc ich o radę i pomoc, ale usłyszał następującą odpowiedź: »W kraju tym istnieje zwyczaj topienia dziewcząt. Staraj się więc odwieść swoich rodaków słowem i pismem od okropnego tego występku, a wówczas z pewnością zdasz dobrze egzamina«. Rzeczywiście Czen-Czas-Kiang zabrał się gorliwie do powierzonej sobie pracy i po upływie trzech lat dostąpił najwyższego zaszczytu, jaki może spotkać literata, to jest został przyjęty na członka akademii.

Zasługuje też na uwagę, że takie publiczne piętnowanie występku, hańbiącego cały naród, znajduje się w większej części dzieł chińskich pisarzy, tak dalece, że jak głosi X. Prałat Harlez, samemi tylko ustępami, dotyczącemi dzieciobójstwa, a zaczerpniętemi z utworów chińskiego piśmiennictwa, możnaby zapełnić całe tomy. Musimy jednak poprzestać na przytoczeniu nielicznych ustępów z najnowszych książek, wydanych w najrozmaitszych zakątkach Chin i stanowiących wymowny dowód wiarogodności opisów, kreślonych w tej mierze przez missyonarzy.

Za panowania Tong-Czis'a, poprzednika teraźniejszego cesarza, wyszło w Hon-Czeu-Fu, w prowincyi Cze-Kuung dzieło pod tytułem: *Kiai-ni-niu-tu-szuo,* czyli opowiadania o topieniu dziewcząt, ozdobione ilustracyami. Na pierwszej karcie tej księgi czytamy: »Zwyczaj topienia dziewcząt napotyka się wszędzie, a zwłaszcza w rodzinach, należących do najuboższej wartwy ludności. Wielu czcigodnych i uczonych mężów pisało już całe tomy, w których starali się odwieść lud cały od

barbarzyńskiego tego zwyczaju malując jaskrawemi barwami całą jego okropność. Po przeczytaniu wielu ksiąg pełnych głębokiej mądrości, doszedłem do przekonania, że istnieją dwa tylko środki wykorzenienia tego okrucieństwa. Pierwszym jest wydanie surowych praw przeciw dzieciobójcom, drugim zaś zaradzenie złemu za pomocą jałmużn rozdawanych ubogim rodzicom, którzy nie mając czem wyżywić swych dzieci, starają się ich pozbyć w tak nieludzki sposób«. Po uśmierzeniu powstania Taipingów, wyszło w Su-Czeu dzieło pod tytułem *Kiang-nan-tie-lei-tu-siu-pien,* którego autor malując smutne następstwa wojny domowej, dodaje między innemi, że *w każdej wiosce* istnieje zwyczaj topienia dziewcząt, i że wielu ludzi nie wyklucza nawet chłopców od tego morderstwa.

W innej znowu książce *Te-i-lu-pao-gny-hoei-koei-tiao,* wydanej w r. 1889, autor uskarża się wymownie na rozpowszechnienie okropnego tego zwyczaju, szczególniej na prowincyi. »Ludność Czang-Nanu, czytamy tam na str. 18, trzyma się stale zasady wychowywania jednej tylko córki, wszystkie zaś inne zostają utopione«. Wprawdzie w wielu miastach władze rządowe założyły domy dla podrzutków, gdzie rodzice mogą umieszczać dzieci, których sami nie chcą wychowywać, wszelkie jednak usiłowania rządu pozostały bez skutku, ponieważ wszyscy niemal rodzice tłumaczą się ubóstwem, które im nie pozwala ponosić kosztów dalekiej nieraz podróży. Niektórzy nawet mawiają żartobliwie, że topienie dziewcząt jest to tylko pewny odrębny sposób wydania ich za mąż, córki zaś powinny im być wdzięczne za to, że za pomocą metampsychozy mogą się znowu odrodzić jako chłopcy. Oto jak Chińczyk zastosowuje w praktyce zasady buddaizmu!

Jednym z najwybitniejszych i najgorliwszych szermierzy, występujących otwarcie do walki z okropnym narodowym zwyczajem, jest uczony Taotsé-Ho-Tongtse w Szang-Haju. Wydał on w r. 1889 *Czeng-ing-pao-eng-lu,* to jest »Zbiór opowiadań o nagrodach, jakie się dostaną w udziale osobom, ratującym nowo narodzone dzieci od niezwłocznej śmierci«. Dzieło to zdobią nader liczne i chakterystyczne illustracye. »Zwyczaj topienia dziewcząt, zaznacza autor, istnieje dotąd wszędzie, ludzie zaś którzy się go trzymają, przewyższają pod względem okrucieństwa najdziksze wilki i tygrysy. Jeżeli zaczniemy przemawiać do rozsądku i sumienia tych rodziców, to z pewnością nas nie zrozumieją, najsurowsze zaś napomnienia i groźby żadnego na nich nie zrobią wrażenia. Może więc zdołamy ich odstraszyć od zgubnego tego występku, malując nagrody lub kary, stosownie do tego, czy biedne dziewczęta ratują lub topią«.

Po tej przedmowie następuje cały szereg niesłychanych historyj, po przeczytaniu których włosy powstają na głowie. Należy jednak przyznać, że takie właśnie opowiadania zdolne są wywrzeć największe wrażenie na zabobonne umysły Chińczyków. Tak naprzykład znajdujemy tam historyę pewnego człowieka imieniem Wang-San-Juen, który niezadowolony z przyjścia na świat córek, utopił ich kilka z pomocą teściowej. Po jakimś czasie za karę zamiast upragnionego syna, żona jego powiła olbrzymiego węża, którego widok przestraszył tak okropnie jedynego siedmioletniego synka, że biedne dziecię natychmiast umarło. Złośliwa teściowa musiała również przypłacić życiem swe okrucieństwo, nieszczęśliwy zaś ojciec przebłagał rozgniewanego domowego bożka, składając mu obietnicę, że w przyszłości będzie dokładał wszelkich usiłowań w celu uratowania od śmierci niemowląt. Opowiadaniu temu towarzyszą illustracye, odznaczające się jaskrawością barw i komiczną charakterystyką typów, posuniętych do karykatury.

Podobne opowiadania pogan przytacza O. Palâtres z naszego Zakonu w ogromnem swem dziele: *L'Infanticide en Chine,* ozdobionem rycinami. Widzimy tam naprzykład dzieciobójczynię leżącą na łożu śmiertelnem i otoczoną straszliwemi szatańskiemi postaciami, które trzymają w ręku bicze i łańcuchy, aby związać i wysmagać wyrodną matkę. Inna znowu rycina przedstawia sforę psów o ludzkich głowach, skrępowanych łańcuchem i pędzonych przez jakiegoś potwora. Są to rodzice, których za zamordowanie dzieci tak okropna spotkała kara. Na innej wreszcie przedstawioną została kobieta, której szatani za dzieciobójstwo ucinają język, jak również wyrodni rodzice, rozszarpani przez tygrysy i skazani po śmierci na najokropniejsze katusze. Nie braknie też rycin, przedstawiających nagrodę, jaka czeka tych, którzy stają w obronie niewinnych dziatek. Między innemi widzimy tam uczonego, którego szpetna twarz w nagrodę za filantropijną działalność tak cudownej uległa zmianie, że ucieszony Chińczyk nie może się napatrzeć odbiciu jej w zwierciedle. Inna rycina przedstawia dobrych, cnotliwych rodziców w kosztowne przyodzianych szaty i otoczonych licznem gronem dzieci, które są ich pociechą i chlubą.

Podobna propaganda w obronie dziatwy istnieje nawet w szkołach, gdzie nauczyciele rozdają uczniom ryciny odpowiedniej treści, aby zawczasu zaszczepić w ich sercach wtręt do dzieciobójstwa.

2) Nietylko jednak w naukowych i popularnych wydawnictwach, przeznaczonych dla niższych warstw społeczeństwa, ale także dzieła i pisma peryodyczne wielu wysoko cenionych literatów i uczonych, występują do walki z tak głęboko zakorzenionym występkiem. W samym tylko Szang-Haju wychodzi obecnie około 20 czasopism, poświęconych niemal wyłącznie kwestyi dzieciobójstwa.

W r. 1874 dziennik *Wei-pao* podał cały szereg artykułów w tym kierunku, dzięki którym w rok później

zawiązało się stowarzyszenie opieki nad biednemi dziećmi. Niestety wszystkie te usiłowania pozostały zapewne bez skutku, gdyż w r. 1877 dziennik *Wan-kuo-kong-pao* uskarżał się w następujący sposób: »Zwyczaj topienia dziewcząt na coraz szerszą rozwija się skalę, tak, że ani jedna prowincya cesarstwa nie jest wolną od strasznej tej klęski. Wykorzenienie więc tak oburzającego występku niesłychane przedstawia trudności«.

3) Teraz nasuwa się pytanie, jakie stanowisko zajął rząd w tej kwestyi? Czyż niema w Chinach żadnych praw, zabraniających dzieciobójstwa i czy władze rządowe mogą spoglądać obojętnie na lekceważenie wszelkich zasad ludzkości i społecznego porządku? Jeżeli zaś nie, to czemu należy przypisać, że dotąd jeszcze tak barbarzyńskiego zwyczaju wytępić nie zdołano?

Na pierwsze pytanie musimy odpowiedzieć, że już od 200 przeszło lat cesarze chińscy starali się za pomocą niezliczonych ustaw i edyktów położyć tamę dalszemu szeszeniu się tej zbrodni. Poniżej znajdą czytelnicy kilka ustępów z tych edyktów, stanowiących w każdym razie nader ciekawy przyczynek do historyi oświaty i cywilizacyi w Chinach.

Afryka. — Egipcyanka w podróży; podług fotografii.

Cesarze z dawnych dynastyj zdawali się troszczyć nie wiele o życie nowonarodzonych swych poddanych. Zaledwie jednak Szun-Czy, pierwszy cesarz z dynastyi mandżurskiej (1644 — 1662), objął rządy Niebieskiego państwa, gdy w drugim miesiącu r. 1659 wydał następujący edykt:

»Do uszu naszych doszła wiadomość, że pomiędzy wami istnieje zwyczaj topienia nowonarodzonych dziewcząt. Z początku nie chcieliśmy temu wierzyć. Teraz jednak, gdy cenzor nasz Wei-Y-Kiai dostarczył nam bliższych czczegółów tak wstrętnego okrucieństwa, przekonaliśmy się, że smutna ta pogłoska zupełnie z prawdą się zgadza. Sama natura wlała nam w serca uczucie miłości rodzicielskiej, która pomiędzy synami a córkami żadnej nie robi różnicy. Dlaczegóż więc biedne dziewczęta na zagładę mają być skazane? Któż nie uczuje w swem sercu litości i współczucia na widok dziecięcia nie mającego jeszcze ani sił, ani rozumu, a które niezwłocznie po urodzeniu okropną musi umrzeć śmiercią? Nie pojmujemy też, jak mogą rodzice przytłumić w sobie tak dalece wszelkie ludzkie uczucia, aby się stać mordercami własnych swoich dzieci. Szang-Ti (Wielki duch) obdarzywszy je życiem, pragnie, aby wzrastały szczęśliwe, żadne zaś z jego stworzeń niema prawa wyrządzać innemu najmniejszej nawet krzywdy. Jeżeli więc rodzice sieją w gronie swej rodziny śmierć i zniszczenie, czyż nie jest to zakłóceniem niebieskiego porządku i harmonii? Wiedzcie o tem, iż dzieciobójstwo jedyną jest przyczyną tego, że naród nasz nie może cieszyć się nigdy szczęściem i spokojem, gdyż powodzie, posuchy, zaraźliwe choroby, nieszczęśliwe wypadki, wojny domowe, oraz inne klęski ciągle jak grad nań spadają. Każde nieszczęście jest tylko karą za jakąkolwiek winę. Wprawdzie mandarynowie otrzymali rozkaz wykorzenienia tego zwyczaju, ale może nie wszystkie rodziny wiedzą o tym przepisie. Należy więc użyć wszelkich możliwych środków w celu zatamowania na przyszłość barbarzyńskiego zwyczaju zabijania dzieci«.

Następnie cesarz stara się rzewnemi słowy obudzić

w sercach swych poddanych wrodzone, lecz uśpione uczucia miłości rodzicielskiej i dodaje: »Wszystkie powyższe przyczyny skłaniają nas do serdecznej prośby, aby lud nasz nie zabijał już więcej swoich dziewcząt w okropny, powyżej opisany sposób. Wszak sukienki wełniane i inne dziewczęce stroje, jakie będziecie musieli nabyć dla swych córek, nie zubożą was z pewnością!«

Za przykładem cesarza Szun-Czy, późniejsi monarchowie chińscy stawali również w obronie nieszczęśliwych dzieci. Następca jego sławny cesarz Kang-Hi (1662—1723), wydał surowy edykt przeciw dzieciobójcom i kazał go wyryć na kamiennej płycie. Później Kien-Long, wnuk Kang-Ha (1726—1796) wyłuszczył obszernie w swoim dekrecie wszystkie przyczyny tak tyrańskiego zwyczaju. »Najuboższe rodziny poczytują wychowanie dziewcząt za rzecz zbyt kosztowną, inne zaś mniej ubogie pragną uniknąć wydatków, jakie musiałyby łożyć na wyprawę i posag dziewczęcia. Niektórzy wreszcie rodzice, z upragnieniem oczekujący syna,

Tunetania. — Ogród Mokkadema w El-Udianie. (Zob. str. 66).

mniemają, że bogowie dopóty nie spełnią ich życzeń, dopóki będą się troszczyli o wychowanie córek«. Odtąd każde dzieciobójstwo, głosi dalej powyższy dekret, będzie karane wygnaniem i 60 uderzeniami kijów bambusowych, krewni zaś i sąsiedzi pod groźbą surowej kary powinni ułatwiać wykrycie wszelkich podobnych zbrodni. Takież same dekreta wyszły za panowania Kia-Kinga (1796—1820), Toko-Kuangu (1820—1850 i Tong-Czy, przedostatniego cesarza, który wstąpił na tron w r. 1861.

Jak widzimy, monarchowie chińscy nie patrzyli wcale przez szpary na zbrodnię dzieciobójstwa, ale niestety, edykta przez nich wydane żadnego nie wywarły wpływu, o czem świadczy ciągłe powtarzanie tychsamych skarg i gróźb.

»Pomimo wszelkich napomnień, czytamy w odezwie do gubernatora w Szang-Haju, skreślonej przez przedostatniego cesarza w r. 1867, barbarzyński ten zwyczaj nietylko dotychczas się utrzymał, ale nawet od chwili wielkiego powstania Taipingów, większe jeszcze przybrał rozmiary i dziś tak dalece już się rozpowszechnił, że w nim nawet nasi poddani nie widzą nic złego. Nietylko bowiem dziewczęta bywają topione, ale nawet młodsi synowie takiemuż samemu ulegają losowi. Najbardziej zaś oburza nas to, że w obecnych czasach wiele zamożnych nawet rodzin dopuszcza się tej zbrodni«.

Potem następują zwykłe groźby, mające na celu zaradzenia złemu. Na uwagę zasługuje zwłaszcza końcowy ustęp powyższej odezwy. »Chcemy, zaznacza cesarz, aby niniejszy nasz dekret nie był uważany za udatny utwór literacki, służący tylko za rozrywkę czytającej publiczności«.

Jak mały atoli skutek wywarły te słowa, to widzimy z późniejszych dekretów, w których jedna i tażsama skarga ciągle się niemal powtarza. Moglibyśmy też przytoczyć daleko więcej ustępów tego rodzaju, ale sądzimy, że to, cośmy dotąd powiedzieli, wystarcza, aby módz ze wszelką pewnością na podstawie urzędowych i nieurzedowych dokumentów, wysnuć następujące wnioski:

1) Że dzieciobójstwo w Chinach nie jest wymysłem, lub sensacyjną wiadomością, podawaną przez missyonarzy, ale istotnym faktem, napotykanym niemal codziennie w obrębie całego cesarstwa, a zwłaszcza w prowincyach Ho-Nan, Hu-Pe, Cze-Kiang, Kiang-Nan i Kiang-Si. Zwyczaj ten utrzymuje się w przeciągu całych stuleci nietylko wśród uboższej ludności, a nawet w średniej klasie chińskiego społeczeństwa.

2) Że ofiarą barbarzyńskiego tego obyczaju padają przedewszystkiem dziewczęta, chociaż niekiedy i chłopców takiż sam los spotyka.

3) Że wielu wykształconych ludzi w Chinach walczy słowem i pismem z godną uznania gorliwością przeciw tak zgubnemu występkowi, władze zaś rządowe począwszy od samego cesarza aż do mandarynów, wydają niezliczone rozkazy w celu zniesienia dzieciobójstwa. Pomimo jednak wszelkich usiłowań ludzi dobrze myślących, zwyczaj ten zamiast zniknąć, coraz bardziej się rozpowszechnia i trwa dotychczas w całej swej sile. Zresztą bezowocność wszelkich wysiłków krajowego prawodawstwa, jak to słusznie zauważył X. de Harlez, nie powinno bardzo dziwić nikogo, kto zna bliżej Chiny i ich mieszkańców. Wobec braku dozoru policyjnego w wielu wypadkach, a zwłaszcza wówczas, gdy natychmiast po urodzeniu się dziecięcia, matka lub ktokolwiek z domowników postara się zgładzić je ze świata, zbrodnia ta na zawsze pozostaje w tajemnicy. Zresztą kryminalne chińskie prawodawstwo dopiero przy końcu zeszłego stulecia wyznaczyło surowe kary za dręczenie i zabijanie dzieci, a zwłaszcza chłopców. Jeżeli zaś wszystkie te ustawy nie wywarły dotąd należytego wpływu, to dlatego, że wykonawcy prawa nie myślą wcale wprowadzić ich w życie z obawy pogwałcenia przez to władzy rodzicielskiej, która w Chinach jest absolutną, nieograniczoną.

Jakeśmy to już widzieli, pierwsze najdawniejsze dynastye chińskie nie troszczyły się wcale o wykorzenienie tego nadużycia i dopiero cesarze mandżurscy otwarcie przeciw niemu wystąpili. Dotąd jeszcze ludność chińska zapatruje się na starannie wystylizowane cesarskie dekreta, jak na popis z dziedziny retoryki i literatury, nie zwracając najmniejszej uwagi na groźby i napomnienia, stanowiące ich osnowę. Sami zaś nawet autorowie powyższych dekretów wyznają szczerze, że państwowe ochronki i przytuliska nie są wcale zdolne zaradzić złemu, które też coraz głębsze zapuszcza korzenie.

Wiele jeszcze dałoby się powiedzieć o okrutnym i barbarzyńskim sposobie, w jaki mordowanie biednych dzieci zwykle się odbywa, jak również o różnorodnych przyczynach rozpowszechnienia się tego nieludzkiego zwyczaju wśród narodu, który pod względem oświaty i cywilizacyi stoi daleko wyżej od wielu innych ludów. Dziś jednak chodziło nam jedynie o przedstawienie w należytem świetle przytoczonych powyżej twierdzeń pewnego dziennikarskiego stronnictwa i wykazania jak dalece nawet europejscy pisarze lubią rozmijać się z prawdą.

Co się zaś tyczy Stowarzyszenia św. Dziecięctwa, któremu już tyle dzieci chińskich zawdzięcza swoje ocalenie, to w jednym z najbliższych numerów postaramy się skreślić dokładny obraz jego rozwoju w przeciągu ostatnich lat pięćdziesięciu, ubiegłych od chwili założenia tej pięknej instytucyi.

Z Kartaginy do Sahary,

przez X. M. Bauron'a.

(Ciąg dalszy).

VII.

Oaza El-Hamma, zwana przez Rzymian *Aquae Tacapitanae,* posiada piękne ogrody, w których wzrastają liczne drzewa figowe, granatowe, winne latorośle i przeszło 170.000 palm. Cyfra ludności dochodzi do 2100 osób, dzieląc się na pięć grup zupełnie od siebie odrębnych. Mieszkańcy berberyjskiego pochodzenia mają jednak w swych żyłach trochę krwi rzymskiej, gdyż w El-Kesser spotkałem kilku młodzieńców, stanowiących wyborny typ włoski, tak, że gdyby nie wschodni ubiór, to możnaby ich wziąć za mieszkańców Apenińskiego półwyspu.

Do osiadłej tej ludności należy jeszcze dodać 2000 koczowników z wielkiego plemienia Beni-Zid, którzy w przeciągu czterech lub pięciu miesięcy każdego roku obozują na krawędzi oazy w celu zebrania daktyli i spędzenia trzód, pasących się na południowych brzegach jeziora Szott-el-Fedżedż.

Cała El-Hamma posiada zaledwie 80 domów, po większej części ładnie zbudowanych i zawierających w swych ścianach mnóstwo starożytnych zabytków. Jednakże w pobliżu starej, czworokątnej warowni, rozpadającej się w gruzy, a zwanej Bordż-el-Hamma, krajowcy zbudowali sobie kilka lepianek podobnych do

tych, jakieśmy widzieli na przedmieściu Menzel. Słupy utworzone z olbrzymich głazów, leżących jedne na drugich, dwie poprzeczne belki, tudzież dach z palmowych gałęzi, stanowią główne składowe części tych domów, bardzo zresztą higienicznych i systematycznie odświeżanych, ponieważ wiatr swobodnie po nich się przechadza. Zajmują one pośrednie stanowisko pomiędzy namiotem koczownika a domem osiadłego Araba, nadając się wybornie dla plemienia Beni-Zid, które wiedzie życie nawpół osiadłe, a nawpół koczownicze.

W pobliżu Bordżu leżą zwaliska starożytnych rzymskich łazienek, cztery zaś gorące źródła płynące u ich podnóża, znajdują i dziś jeszcze licznych zwolenników.

Temperatura tych źródeł obficie przesyconych siarką, wynosi 47°, pod sklepieniem zaś pozostałem z dawnych łazienek, tak wielkie panuje gorąco, że wszedłszy tam, każdy kto się chce kąpać, oblewa się potem i przed kąpielą wodną odbywa kąpiel tuszową.

Długie rozmowy z X. Raoul'em, serdeczne oznaki sympatyi, żywionej ku niemu przez muzułmanów i prawdziwie wschodnia gościnność, opóźniły znacznie nasz powrót, tak, że noc już zapadła, gdyśmy się jeszcze kołysali w powozie, unoszonym przez rącze konie. Po powrocie oczekiwała nas wesoła wieczerza w hotelu »pod Oazą«, przy końcu jej wszakże cień smutku zaległ nasze czoła, gdyż niebawem mieliśmy się rozstać.

Dwaj moi towarzysze postanowili wrócić do Tunisu morzem, aby następnie polować w Kabyleï, pożegnałem ich więc ze ściśnionem sercem i zwilżonem okiem. Tymczasem oficerowie z gabeskiej załogi radzą mi zrobić wycieczkę do gór Matmata, przebiedz krainę Ksurów, zobaczyć pieczary troglodytów, zwiedzić Metameur i Medeninę, oraz dotrzeć do krańcowego posterunku w Fum-Tatahuinie, ztamtąd zaś zboczyć do skalistych okolic Beni-Barki, Chenini, Duiretu, leżących na pograniczu Sahary i zbadać osobiście stosunki południowych Berberów z rozbójniczymi Tuaregami.

— Jest to kraina dotąd niezbadana — mówią — w której znajdziesz, Ojcze, mnóstwo oryginalnych, charakterystycznych zwyczajów, oraz odrębnych zupełnie krajobrazów.

Nie omieszkano też niebawem dostarczyć mi przewodników, którzy mieli zmieniać się kolejno, a w dodatku miałem zapewnioną gościnność pod namiotami oficerów lub w chatach Kaidów. Podróż tę można odbywać tylko konno, przebywając od 40 do 80 kilometrów dziennie.

Miły i wykształcony p. Fournier, tłumacz przy trybunale, ofiaruje się towarzyszyć aż do Hadeżu, wsi zamieszkałej przez troglodytów. Z radością więc przyjmuję tę propozycyę, nazajutrz zaś rano nowy mój towarzysz wraz z pewnym spahisem, przysłanym przez miejscowego kapitana, zabierają mię z hotelu »pod Oazą«.

Powiedzmy jednak najprzód słów kilka o tym zakątku kraju. Rzuciwszy okiem na mapę Afryki północnej, zobaczymy na południe od Gabesu, o 20 mil od wybrzeża, łańcuch stromy, jak ściana, który się zwraca na zachód, dzieląc jezioro słone od Sahary i przerzyna Nefzanę czyli krainę oaz, zawierającą 40 wiosek, 300.000 palm, oraz 20.000 mieszkańców. Stolicą jej jest Kebilli.

Najwyższe szczyty tego górskiego łańcucha dochodzą zaledwie do 500 metrów wysokości, charakterystyczną zaś jego cechę stanowi to, że od strony morza Śródziemnego jest zupełnie nagim i stromym, gdy tymczasem zachodnie jego stoki zniżają się amfiteatralnie aż ku Saharze.

Dolina, która się ciągnie od podnóża tych gór aż ku morzu, zowie się Araad od łacińskiego wyrazu *aranda,* oznaczającego grunt zdatny do uprawy. Była ona niegdyś bardzo bogatą i dziś może nią być jeszcze, jeżeli się administracya zabierze umiejętnie do jej zaludnienia. Jest to dawna ojczyzna Lotofogów, którzy podług Herodota i Homera żywili się owocami lotosu, słynnemi w starożytności z przedziwnego smaku.

Czytamy w *Odyssei,* że towarzysze Ulissesa zakosztowawszy po raz pierwszy tego owocu, nie chcieli wrócić do ojczyzny, a bohater z pod Troi głuchy na ich prośby, kazał ich przemocą przenieść niezwłocznie na okręta i przywiązać do pokładu. Podanie to potwierdza nawet Pliniusz, dodając, że krajowcy wyrabiali z lotusu upajający trunek, prawdopodobnie więc owi starożytni rycerze stracili przytomność skutkiem jego użycia.

Dawna ojczyzna Lotofagów, późniejsza Aranda Rzymian, a dzisiejszy Araad arabski, tworzy pomiędzy morzem a górami pewien rodzaj wąwozu, który był naturalną drogą dla najezdczych trypolitańskich plemion. Wąwóz ten w dziejach Tunetanii nieraz stanowczą odgrywał rolę, w nim to bowiem następowało zwykle starcie pomiędzy tubylczą ludnością a muzułmańskimi najeźdzcami, którzy z tem większą zaciekłością uderzali do ataku, ażeby przeszkodzić krajowcom bronienia się w górach i zatamowania im drogę.

Terrytoryum ciągnące się w obrębie gór, zowie się krainą Ksurów, wyraz zaś *ksur, kazar* lub *ksar* służy na oznaczenie pojęcia siły i potęgi. Dlatego też znajdujemy go we wszystkich niemal starożytnych językach, chociaż w odrębnej nieco formie. Fenicyanie zaczerpnęli zeń nazwy Sur i Tyr, Assyryjczycy — Assur, Persowie — Aszuerus król potężnych, Grecy zrobili zeń Kaizara, Latynowie Cezara. Wreszcie Hiszpanie połączywszy ten wyraz z partykułą *al,* otrzymali *Alcasar* — forteca, pałac i *Alcarasas* — amfory.

Nadto istnieje pewien rodzaj budynków, zwanych także *ksur* albo *rorf* i otaczających dokoła jakiś gmach większego znaczenia, jak naprzykład meczet lub warownię. Nazwa ta wreszcie stosuje się również do arabskich wiosek, zbudowanych na stokach lub szczytach gór.

Wyjechawszy o wschodzie słońca z Gabesu, przejeżdżamy przez Menzel i Sidi-Bul-Babę, potem zwracamy się wprost ku łańcuchowi górskiemu i przez czas długi podążamy po równinie porośniętej tu i owdzie trawą lub karłowatemi krzewami. Wreszcie po kilku godzinach jazdy przybywamy do pierwszych górskich stoków o dziwacznych kształtach i w niewielkim wąwozie, podobnym do tajemniczej oazy, spostrzegamy szereg białych namiotów zajętych przez żołnierzy, porucznika Leray i tłumacza Amu.

— Przybyliśmy więc do wioski, liczącej 600 mieszkańców — odzywa się p. Fournier.

— A gdzież są domy? Nie widać tu przecie żadnego śladu ludzkiego siedliska.

— Strzeż się, Ojcze, abyś nie wpadł nagle na dziedziniec jakiego domu i nie uderzył dziecięcia lub kobiety.

— Co też pan mówisz, wszak jesteśmy na polu?

— Ale gdzież tam, jesteśmy w samym środku wsi Hadeż.

Rzeczywiście, spostrzegam nagle u mych stóp czworokątny dół, mający 225 ❑ metrów objętości na 8—10 metrów głębokości. W głębi tej klatki, służącej za dziedziniec dla troglodyckiego mieszkania, znajduje się kilka otworów, które wyglądają, jak czarne plamy na jasnem tle piaskowca. Są to pokoje, nie mające okien, do których światło przez drzwi tylko wpada. Drugi szereg apartamentów takiegoż samego rodzaju tworzy pierwsze piętro, wchodzi się zaś tam po stopniach wykutych w ścianie, a za punkt oparcia służy lina, zwieszająca się od wierzchołka skały aż do otworów mieszkań. W pośrodku dziedzińca stoją ogromne kosze, wyplecione z *alfy* i napełnione rozmaitem zbożem, a które na pierwszy rzut oka możnaby wziąść za ule. Obok nich mieszczą się ogromne misy z piaskowca, zawierające oliwki, lub wytłoczoną już z nich oliwę, jak również daktyle, pomarańcze i kukurudzę. W głębi pieczar pracują kobiety w towarzystwie mnóstwa dzieci, które ujrzawszy nas, wydają dzikie okrzyki, obsypują obelgami i dają znaki, abyśmy się oddalili. Pan Fournier stara się je uspokoić, ja zaś rzucam im kilka lusterek, które nieco gościnniejsze zyskują dla nas przyjęcie. Wówczas też wszystkie kobiety witają nas, kładąc ręce na ustach w taki sposób, aby palce tworzyły w pobliżu nosa pewien rodzaj rurki, czy też akustycznej trąbki, za pomocą której wydają krzyk ostry, przeciągły i drgający jak trele. Zowie się to u nich *zagrit* i następuje podczas każdej ważnej okoliczności, jak naprzykład przybycia znakomitego gościa, oraz podczas obrzędów ślubnych i po powrocie z pomyślnej wyprawy.

Zwyczaj ten stanowi nowy dowód przechowywania przez wschodnie ludy dawnych tradycyj w przeciągu całych stuleci. Herodot przypuszcza, że przeciągły okrzyk wydawany przez Greków podczas uroczystości na cześć *Pallady*, został wraz z kultem tej bogini zaczerpnięty od Libijczyków. »Kobiety libijskie, dodaje, wyrażają nim uczucia radości w sposób bardzo przyjemny«.

Po 25-ciu stuleciach przekonywam się ze zdumieniem Hadeżu, że potomkowie dawnych Libijczyków i teraz jeszcze za pomocą *zagritu* objawiają swe radości z powodu przybycia miłej osoby, lub odniesionego na wrogu zwycięztwa. Cała zresztą ludność hadeska zdaje się należeć raczej do rasy etyopskiej, ma cerę brunatną i niepodobna wśród niej napotkać europejskich typów z jasnemi włosami, tak pospolitych w innych tunetańskich wioskach. Kobiety noszą suknie przytwierdzone na prawem ramieniu za pomocą pierścienia ze srebra lub kości słoniowej, na czole zaś mają wytatuowane krzyże.

W chwili naszego przybycia kilka z nich przyrządzało jadło, piekąc na rożnie pieczeń baranią, po nad ogniskiem, płonącem na środku izby. Dym wydobywał się przez otwór umieszczony po nad drzwiami. Wszystkie wogóle groty podobne są do siebie, cała zaś różnica polega na ilości wewnętrznych pieczar i szczegółach umeblowania. Nie są one połączone ze sobą żadnemi korytarzami, odległość zaś pomiędzy niemi wynosi od 50 do 200 metrów. Wszystkie otwory do pieczar tych wiodące są tak zręcznie ukryte, że istotnie można w sposób zupełnie niespodziewany wpaść do grona jakiejś nieznanej rodziny.

Troglodyci zamieszkują kilka wiosek, z których główniejszemi są Hadeż i Tamerzed. Kalif Sidi-Sassi Fatusz, starzec w bardzo podeszłym już wieku, dość szanowany przez swoich, dwaj zaś jego synowie piastują godność kaidów i byliby bardzo pięknymi mężczyznami, gdyby nadmierna otyłość bardzo ich nie szpeciła.

Wszyscy prawie troglodyci nie noszą zarostu, rysy zaś ich przypominają nieco egipskich Fellahów, zdaje mi się też, iż pochodzą oni od troglodytów etyopskich, którzy ciągłe z Garamantami toczyli niegdyś walki.

»Troglodyci egipscy, mówi Herodot, są najzręczniejszym i najsprytniejszym narodem na świecie, żywią się wężami, jaszczurkami i innemi płazami, język ich zaś jest zupełnie odrębnym od wszystkich innych języków«.

Widoczną niemal jest rzeczą, że mieszkańcy gór Matmata, żyją już w swych grotach od kilku lub kilkunastu wieków, pierwotne ich zaś obyczaje i zwyczaje żadnej dotychczas nie uległy zmianie. Z początku przyjęli oni Ewangelię, później koran, ale ani Chrystyanizm, ani islam nie wywarł stanowczego wpływu na sposób ich życia, tajemnicze zaś pieczary bronią niezachwianie ich niepodległości.

Dowiedziawszy się o naszem przybyciu, Sidi-Fatusz wysyła syna swego Mansura, aby nas powitał w jego imieniu. Po zachodzie słońca Mansur przychodzi znowu z latarnią w ręku, tym razem jednak ma na sobie śliczny jedwabny *haik* i również wspaniały turban,

na palcach zaś jego iskrzą się brylanty. Przybywa on ze skargą na naszego spahisa, który ubliżył jego ojcu. Skazujemy więc winowajcę na pozbawienie przeznaczonej dlań porcyi baraniej pieczeni, ale wówczas Mansur zmienia taktykę i wstawia się za spahisem. Następnie przez podziemny korytarz prowadzi nas do pieczary swego ojca, który po uprzejmem powitaniu, wiedzie do głębi ciemnego swego pałacu. Pierwszy pokój zajmują konie, drugi żona i domownicy Sidi-Fatusza, trzeci zaś dla nas został przeznaczonym. Ma on 5 metrów szerokości na 10 długości i sufit wybielony wapnem, po prawej zaś i lewej stronie stoją przy ścianach dwa obozowe łóżka. Środek wreszcie zajmuje ogromny kufer, na którym mieści się lichtarz, dwie miednice, oraz srebrny imbryk do kawy. Podłoga pokryta jest matami, lub wełnianemi dywanami, w całym zaś pokoju panuje sucha, łagodna atmosfera. Wogóle mieszkania te należą do bardzo przyjemnych, w zimie bowiem są ciepłe, w lecie zimne, przedewszystkiem zaś chronią wzrok od olśniewających promieni słonecznych.

Troglodyci z Matmaty mieszkają na terrytoryum Ksurów, które się ciągnie od Gabesu do Sahary i od Zarzesu do Nefzani. Cała ludność tego terrytoryum bardzo mało dotąd znana, posiada wiele ciekawych i niepospolitych cech charakterystycznych. Aby więc rzucić nieco światła na dalszy ciąg mego opowiadania, muszę je poprzedzić kilkoma wstępnemi uwagami.

Wyraz *ksur*, stanowiący liczbę mnogą od *ksar*, wyraża, jakeśmy to wyżej powiedzieli, pojęcie siły i potęgi, a zarazem charakteryzuje wybornie rodzaj życia tych, co go używają. Rzeczywiście, mieszkańcy Ksuru chowają płody swe i zapasy po za szańcami fortecy, wzniesionej na niedostępnej skale, jak w Chenini i Beni-Barce, albo też zbudowanej na równinie, jak naprzykład w Medeninie i Metamerze, lub wreszcie ukrytej w górskim wąwozie, jak to widzimy w Hadeżu i Tamerzedzie. Dzielą się oni na Dżebaliów, czyli górali i koczowników, obozujących na dolinach. Pierwsi są przedstawicielami czystej berberyjskiej rasy, drudzy stanowią amalgament krwi arabskiej z berberyjską, tworzą federacyę złożoną z czterech stanów, z których każdy dzieli się na kilka plemion, a wszyscy razem oznaczani bywają ogólną nazwą Uerghemmów.

Górale wiodą życie osiadłe, poświęcone rolnictwu lub handlowi, terrytoryum ich wszakże z powodu braku deszczów nie odznacza się żyznością, ogrody zaś zasadzone w głębi wąwozów, w niezbyt świetnym znajdują się stanie. Liczne stoki i górskie szczyty, wystawione na palące promienie słońca lub podmuchy *sirocco*, sterczą nagie, jałowe, pozbawione roślinności i życia. Zresztą wszędzie daje się uczuwać brak wody, nie wielkie zaś oazy, przerznięte kilkoma potokami, wydają bardzo szczupłą ilość fig, oliwek i daktyli. Wprawdzie kiedy deszcz pada, można się spodziewać przepysznych plonów, ale deszcz niestety należy tam niemal do nadzwyczajnych zjawisk. Dlatego też tamtejszy korzec, czyli *niba*, stosownie do produkcyjności danej okolicy, powiększa lub zmniejsza swoją zawartość. W żyznej dolinie Medżerdah, zwanej tunetańską spiżarnią, *niba* waży od 50 do 60 kilogramów, w Tunisie 25, w Gabesie 12, w Duirecie zaś, Beni-Barce i Chenini zaledwie od 4 do 6 kilogramów. Naturalnie ceny pozostają tesame bez względu na wagę korca, z różnic zaś powyżej wymienionych wynika, że górale nie mogą ani kupić, ani sprzedać tyle zboża, ile go sprzedają i kupują mieszkańcy równin, a zatem daleko są od nich ubożsi.

Należy jednak przyznać, iż biedni Dżebaliowie pracują z niezmordowaną gorliwością, dokazując prawdziwych cudów, aby z niewdzięcznego gruntu jakiekolwiek otrzymać plony. Corocznie znaczna ich ilość opuszcza góry, udając się do miast nadmorskich, Sfaksu, Gabesu, Susy, Tunisu, a nawet Algeru, aby tam zarabiać jako tragarze, roznosiciele gazet, chłopcy kąpielowi, a zwłaszcza kucharze. Pewną nawet kulinarną sławą cieszą się górale z Duiretu i Chenini, poszukiwani przez właścicieli restauracyj i zamożne europejskie rodziny, osiadłe w Tunetanii. W Medeninie poznałem u miejscowego komendanta pewnego Dżebalię, nazwiskiem Watel, który pochodził z Chenini i za czasów Piusa IX służył w kuchniach watykańskich.

Prawie wszyscy mieszkańcy gór Matmata są troglodytami, żyjąc daleko wygodniej w swych pieczarach, niż koczownicy pod namiotem. W Chenini, Duirecie i Guermesie pieczary ich wykute są na stromych skałach, gdzie Dżebaliowie ukrywają swe zapasy i śledzą ruchy tuaregskich najeźdźców. Niektórzy z nich jednak nie mogąc wyżywić się w górach, schodzą na doliny i mieszkają obok koczowników, nie łącząc się wszakże z nimi, jak to widzimy w Beni-Baru, Tunkecie i Gedrachu.

Przed okupacyą francuską, ilekroć Dżabaliowie opuszczali orle swe gniazda, wpadali niemal zawsze w ręce koczowników, którzy się z nimi obchodzili, jak z niewolnikami, oddanymi sobie na łaskę i niełaskę. Niebawem nieuzasadniona ta zwierzchność zamieniła się w tyranię, której owocem byłoby prawdopodobnie zupełne wytępienie górali. Tak naprzykład, na południu od Fum-Tatahuinu, widziałem kilka samotnych stoków, na których niegdyś istniały ogromne, berberyjskie wioski, a mianowicie Dryba, Beni-Guendil, Maatus i Breyga. Mieszkańcy ich schronili się do Duiretu, Matmaty, a nawet Kabylii, dotąd wszakże uchodzą za właścicieli dawnych posiadłości swych przodków, a ponieważ prawo muzułmańskie nie uznaje żadnego przedawnienia, starają się więc obecnie odzyskać swą własność.

Przed przybyciem Francuzów każda góralska rodzina musiała się udawać pod opiekę *kebira* czyli wodza z plemienia Uerghemmów, składając mu w darze

pewną część rocznego plonu i zobowiązując się nie zawierać żadnych związków bez pozwolenia swego opiekuna. Nadto konie, wielbłądy i owce nosiły godło plemienia, do którego opiekun należał.

Feudalny ten system, do ostatecznych doprowadzony granic, ciągnął za sobą ruinę górali. Dziś jednak stosunki się zmieniły, gdyż Dżebaliowie zdołali stopniowo uwolnić się od opieki Uerghemmów, odzyskali całkowicie dawną niepodległość, a nawet traktują dawnych swych ciemiężców, jako sobie równych

Jeżeli mój spahis ubliżył Sidi-Fatuszowi i zasłużył na karę, to dlatego, że sam jest koczownikiem, a Sidi-Fatusz, chociaż kalif góralski, wydaje mu się bardzo podrzędną osobistością. Nie wahał mu się więc powiedzieć, że on *sakri* (jeździec), może zdziałać więcej jednym palcem, niżeli Sidi-Fatusz z całym swym kalifatem.

Dżebaliowie, czyli tunetańscy troglodyci, różnią się tem od innych tamtejszych plemion, iż się nie asymilują wcale z Arabami i dotąd jeszcze wręcz odrębne zachowali typy. Nie mają oni tej delikatności członków, sprężystości muskułów oraz dystynkcyi w ruchach i obejściu, jaka cechuje wyznawców islamu. Wzrost ich bywa zwykle mniej niż średni, twarz okrągła, ruchy ociężałe i niezgrabne, oczy niebieskie, włosy zaś jasne, wpadające niekiedy w kolor czerwonawy. Siedliska tych górali rozciągają się od El Hammy aż do góry Beng-Hazi w Trypolisie, po za obrębem zaś skał ojczystych, nie wielu można spotkać Dżebaliów. Jedyne wioski berberyjskie, leżące na równinach, zowią się: Majora, Sened, Lakked i El Ajacha, mieszkańcy zaś ich mówią temsamem narzeczem, którego się używa w Duirecie.

W zasadzie wielożeństwo u Berberów nie istnieje, kobieta zaś cieszy się nieraz znaczną powagą i wpływem u rodzinnego ogniska. Główną podstawą tego społeczeństwa jest uczucie zupełnej równości wszystkich jego członków. Każdy dorosły Berber ma prawo brać udział w ogólnych zebraniach, wypowiadać swe zdanie i głosować. Krasomówstwo wielką odgrywa tam rolę, tak, że wszyscy mężczyzni gorliwie w niem się ćwiczą.

Niegdyś przed muzułmańskim najazdem wszystkie berberyjskie ludy, osiadłe w północnej Afryce, wyznawały Chrystyanizm. Dziś jeszcze, jako pamiątka wiary dawnych przodków, przechowały się u nich dwie wyraźne oznaki, a mianowicie, przestrzeganie przepisów *kanunu* i kreślenie na czołach znaku krzyża świętego, chociaż co się tyczy tego ostatniego, to Berberowie nie zdają już sobie dokładnej z niego sprawy. *Kanun* jest niczem innem, jak dawnemi przepisami kościelnemi, przechowywanemi niezachwianie zapomocą pisma i tradycyi, pomimo późniejszego przyjęcia koranu. Co zaś do krzyża tatuowanego na czołach, to jest on również autentycznem świadectwem Chrystyanizmu przodków, chociaż nie wszyscy nowożytki uczeni na to się zgadzają.

Przed chrześcijańską erą krzyż był godłem niesławy i poniżenia, piętnowanym tylko na czołach niewolników i nikt nie zgodziłby się z pewnością wytatuować go sobie. Dopiero więc religia Chrystusa spopularyzowała i uszlachetniła ten znak, który stał się następnie przedmiotem czci i szacunku. Szacunek ten pozostał zawsze w głębi serc Berberów, pomimo narzuconego im przemocą islamu. Ten więc, kto nie chce uznać berberyjskiego krzyża za ostatni ślad pierwotnego Chrystyanizmu, dziś już niestety wykorzenionego, przeczy widocznemu historycznemu faktowi. Później wprawdzie Dżebaliowie przyjęli stopniowo legendy innych plemion i uważają się za potomków jakiegoś muzułmańskiego świętego, co tem dziwniejszem się wydaje, że utrzymują jednogłośnie, iż nie zawsze byli muzułmanami. Z drugiej strony, chociaż po większej części nie znają przepisów koranu i nie troszczą się wcale o zastosowanie ich w praktyce, są jednak fanatycznie przywiązani do islamu.

Południowi Dżebaliowie, a zwłaszcza mieszkańcy Duiretu i Guermesy, trudnią się po trosze handlem, wysyłając od czasu do czasu karawany do Ghadamesu. Utrzymują też oni ożywione stosunki z Tuaregami, którzy używają języka zupełnie odrębnego od tego, jakim się posługują mieszkańcy Chenini. Wypływa ztąd wniosek, że Dżebaliowie należą do dwóch gałęzi wielkiego berberyjskiego szczepu. Niektórzy górale wyrabiają też rozmaite przedmioty ze skóry, oraz burnusy i namioty z sierci wielbłądów. Przed okupacyą prowadzili oni na wielką skalę handel niewolnikami, karawany ich zaś dochodziły nieraz aż do Ghatu. Dziś jedynym przedmiotem berberyjskiego wywozu jest zboże, oliwa, masło, oraz niektóre wyroby sudańskie, jak naprzykład obuwie, skóry, tudzież piasek złoty, kość słoniowa i inne artykuły, sprzedawane przez nich w Tunisie i Gabesie.

Wszystkie sprawy publiczne załatwiają górale wspólnie, rozwijając przytem niezwykły dar wymowy. Umieją też przewlec każdą sprawę aż do nieskończoności, naśladując w tej mierze Chińczyków. Oto fakt tego rodzaju, którego sam byłem świadkiem.

Pewien góral popełnił jakiś występek, a porucznik Amu, służący za tłumacza, wysłał spahisów w celu jego aresztowania. Jednak zamiast winowajcy, spahisowie znajdują niewinnego jego brata, który błaga o przebaczenie, gdy tymczasem winny ukrywa się w jakiejś pieczarze, gdzie znajomi i przyjaciele donoszą mu tajemnie o przebiegu sprawy. Wreszcie brat zaręcza spahisom, powołując się na świadectwo wszystkich sąsiadów, że winowajca odjechał do Nefsani i wróci dopiero za tydzień. Ale porucznik wiedząc aż nadto dobrze, z kim ma do czynienia, grozi całej rodzinie, iż ściągnie z niej ogromną karę pieniężną, jeżeli winowajca nie wróci przed zachodem słońca.

Wówczas kilkunastu Berberów pod pozorem poszukiwania winnego, rozjeżdża się we wszyskich kierun-

kach, taka zaś oznaka dobrych chęci usposabia mimowoli do pobłażliwego sądu. Po upływie godziny nadjeżdża kilku krajowców, jeden zaś z nich wysuwa się naprzód, wołając do nas z radością: »Już go mamy!« Krajowcy ze wszelkiemi oznakami litości i szacunku eskortują jakiegoś starca w łachmanach, wspartego na lasce i chwiejącego się za każdym krokiem, który wygląda jak prawdziwy Edyp. Starzec ten spoglądając na nas zaczerwienionemi oczyma i drżąc cały ze strachu, prosi pokornie, abyśmy mu pozwolili usiąść na ziemi, poczem wydaje głębokie westchnienie, wyciąga ręce, ubolewa nad swą starością i błaga o przebaczenie dla występnego syna.

»Zresztą — dodaje — syn mój jest niewinny, jeżeli zaś zbłądził, to winną temu jest jego młodość. Przebaczcie mu więc. Jeżeli zaś nie obejdzie się bez kary, to niech spadnie ona na mnie raczej, niż na mego syna, gdyż chłopak to uczciwy, na co wszyscy obecni towarzysze mogą złożyć świadectwo«.

»Co do kary pieniężnej, to ja ośmdziesięcioletni starzec, biedny, schorzały i nawpół umierający, zapłacić jej nie mogę, syn mój zaś niema nic wcale, gdyż wszystko co posiadał, poświęcił na utrzymanie zniedołężniałego ojca«.

Wobec tak niezwykłej nędzy, połączonej z niezwykłem krasomówstwem i rozrzewniającym *patosem,* uczułem się niemal rozbrojony, a zarazem zdawało mi się, ze zostałem przeniesiony do epoki greckich i rzymskich mowców. Istotnie, na starej afrykańskiej ziemi, zwyczaje starożytne przechowały się nieskażenie, jako żyjące ślady przeszłości.

Porucznik przebacza, a w godzinę później winowajca przychodzi złożyć mu podziękowanie za jego dobroć.

— Nie jeździłeś więc do Nefzani?

— Owszem, ale koń mój się skaleczył i musiałem wrócić, a dowiedziawszy się, że mnie wzywałeś, staję na twoje rozkazy. *(C. d. n.).*

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE Z MISSYJ.

Azya. — Chiny. — Święto napisów w Knin-Linie. Od niepamiętnych czasów wszyscy bez wyjątku Chińczycy okazują głęboką cześć dla napisów. Zarówno w ubogiej chacie, jak i we wspaniałym pałacu, znajdują się ogromne tablice, zawierające na tle czarnem lub czerwonem różnorodne dziwaczne napisy złote albo czarne. Jest to niezbędna ozdoba każdego chińskiego domu, na której też i pagodom bynajmniej nie zbywa. Zwyczaj ten został nawet wprowadzony do świątyń chrześcijańskich, natychmiast bowiem po zbudowaniu kościoła lub kaplicy, chrześcijanie zbierają pomiędzy sobą składkę na koszta przyozdobienia domu Bożego odpowiedniemi napisami. W roku ubiegłym, podczas uroczystości Bożego Narodzenia, kilka tutejszych wiosek obchodziło solennie święto napisów; posłuchajmy więc, jak O. Castanet opisuje obchód takiej uroczystości w Kuin-Linie, której naocznym był świadkiem:

Piękna kuin-lińska świątynia została zbudowana w kształcie krzyża. Dach jej wspiera się na słupach z drzewa cedrowego, mających przeszło jeden metr średnicy, ściany są murowane, fronton zaś, prawdziwe arcydzieło sztuki murarskiej, zdobi prześliczna porcelanowa mozajka. Dzięki swej wysokości, świątynia panuje nad całem miastem, stanowiąc przedmiot uwielbienia dla wszystkich podróżnych. Nie dziw też, że chrześcijanie, dumni ze swego kościoła, oczekiwali z niecierpliwością wspaniałej uroczystości, którą wyznaczono na dzień 24 grudnia.

Od samego rana odgłosy moździerzy świadczyły o ogólnej radości, po całem zaś mieście odbywały się pochody z napisami, a wreszcie liczne grono wiernych we wzorowym porządku przybyło do świątyni. Oczekiwał je tam O. Guébriant, w odświętne ubrany szaty, któremu wspaniałomyślni dawcy wręczyli uroczyście ofiarowane przez siebie napisy. Ceremonii tej towarzyszyły zwykłe chińskie komplementa i ukłony, dokoła rozlegały się odgłosy armatek i bębnów, połączone z dźwiękami klarynetów i cymbałów, cały zaś tłum obecny nieopisanej oddawał się radości.

Dopiero popołudniu rozpoczął się właściwy obchód uroczystości Bożego Narodzenia. Wszyscy nasi wierni starali się przyłożyć do jego uświetnienia, najdalsze nawet stacye missyjne wysłały swych przedstawicieli, świątynia zaś ozdobiona licznemi i pięknemi napisami, oraz mnóstwem różnokolorowych latarek, ofiarowanych przez chrześcijan, wspaniały przedstawiała widok. Dziedziniec nawet, wybrukowany starannie, odświętną jakąś przybrał powierzchowność. Wieczorem zostaliśmy zaproszeni przez wybitniejszych pogan na zabawę prawdziwie chińską, której kulminacyjnym punktem były ognie sztuczne, nie mające zresztą w sobie nic osobliwego.

Resztę wieczoru zajęły nam ostatnie przygotowania do uroczystości chrześcijańskiej, wierni nasi zeszli się tłumnie na nabożeństwo i dopiero po północy świątynia opróżniać się zaczęła. Jakże piękną była ta Msza pasterska i jak wielką pociechę sprawiało nam to, że rozległy nasz kościół nie zdołał pomieścić wszystkich, którzy pragnęli w jego murach złożyć Bogu swe hołdy!

Wielu bardzo chrześcijan przystąpiło do Stołu Pańskiego, na chórze zaś rozlegały się dźwięki harmonium i melodyjne śpiewy kolend.

Pewna ilość pobożnych przez całą noc pozostała w świątyni i podczas drugiej Mszy świętej, odprawionej o świcie, wszyscy poczciwi ci ludzie śpiewali z takim zapałem, jak gdyby najmniejszego nie uczuwali znużenia. Należało jednak pomyśleć i o potrzebach ciała. O dziewiątej więc rano przeszło trzystu nowych wiernych zasiadło do skromnej uczty, podczas której artyści muzyczni dęli co sił starczyło, w swoje instrumenta. Trzeba zaiste mieć chińskie uszy, aby w tak hałaśliwej muzyce jakąkolwiek znajdować przyjemność.

We wtorek miały się odbyć ceremonie innego zupełnie rodzaju. Idąc za namową wybitniejszych chrześcijan, O. Guébriant wysłał zaproszenie do czterech mandarynów, nader przychylnie dla nas usposobionych, spodziewając się w głębi duszy, że się na tem skończy. Atoli ku wielkiemu jego zdumieniu wszyscy czterej dygnitarze przyjęli zaproszenie.

Wieść o tem rozeszła się natychmiast po całem miasteczku, w dniu zaś oznaczonym radość chrześcijan i ciekawość ogólna nie miała granic. Jedni z naszych wiernych zajęli się przyozdobieniem świątyni, drudzy, cieszący się opinią znakomitych kucharzy, objęli kierunek kulinarnej części uroczystości, reszta zaś z rozpromienionemi twarzami udawała się co chwilę do missyonarza, świetne podając mu rady.

— Ojcze, włóż tę suknię i ten kapelusz — wołali jedni.

— Nie, Ojcze, tamten kapelusz będzie ci lepiej do twarzy — protestowali drudzy.

Co do biednego kapłana, ten ze swej strony czynił wszystko, co mógł, aby jak najokazalej przyjąć swoich gości, ponieważ ta wizyta miała jeszcze bardziej zacieśnić węzły przyjaźni, istniejącej już od dawna pomiędzy mandarynami a missyonarzem. Wreszcie o czwartej popołudniu trzy salwy armatnie dały znać całemu Kuin-Linowi, że wielki mandaryn wyjechał z pałacu.

Na hasło to trzej inni dygnitarze również wybrali się w drogę i niebawem całe dostojne grono stanęło przed bramą stacyi missyjnej. Poprzedzał je liczny tłum ulicznych krzykaczy, którzy wrzeszczeli z całych piersi:

— Z drogi! z drogi! mandaryn jedzie!

Natychmiast też nowe trzy salwy działowe zawiadomiły Ojca Guébrianta o przybyciu znakomitych gości. Wyszedł on więc niezwłocznie na ich spotkanie, ja zaś zamknąłem się skromnie w swoim pokoju, sądziłem bowiem, że za mało znam jeszcze chiński język i zwyczaje, aby módz się pokazać w tak dostojnem towarzystwie. Nie mogę więc podać szczegółów tej wizyty, wiem tylko, że w ciągu rozmowy O. Chareyre zawiązał religijną dysputę z wielkim mandarynem i chociaż łagodnie, ale z właściwą sobie stanowczością odparł jego zarzuty. Zresztą wszystko jak najlepiej się odbyło. Po ceremonialnem powitaniu, mandarynowie wraz ze swoją świtą zwiedzili świątynię, która im bardzo się podobała, poczem wrócili do sali, gdzie oczekiwała ich uczta, urządzona podług przepisów chińskiej gastronomii. Mogę też dodać, ponieważ widziałem to sam z po za firanki, że szanowni goście raczyli się wyśmienicie rozmaitemi przysmakami. Zbytecznem byłoby mówić, że orkiestra z podwojonym przygrywała zapałem, przechodząc z jednej melodyi do drugiej i nie dając uszom biednych słuchaczy ani chwili wytchnienia.

Wreszcie o ósmej godzinie wieczorem wielki mandaryn dał znak do odjazdu, wkrótce zaś potem trzy tradycyjne salwy działowe zapowiedziały zakończenie uroczystości, której wspomnienie nie zatrze się nigdy w pamięci kuinlińskich chrześcijan.

Oto główniejsze wypadki, które jak mi się zdawało, zasłużyły na szczegółowy opis.

Missyonarz ozdobiony krzyżem legii honorowej. — Na mocy dekretu prezydenta rzeczypospolitej francuskiej, wydanego dnia 10 listopada 1893 r. X. Schmitt, missyonarz w Petryu (Syam), został mianowany kawalerem legii honorowej za wyjątkowe zasługi, jakie położył przy zawarciu traktatu pomiędzy Francyą a Syamem dnia 1 października roku ubiegłego.

Marokko. — Z listu otrzymanego z Rabatu, wyjmujemy następujące szczegóły o missyi w Saffi, założonej dnia 8 kwietnia 1893 r.:

Od r. 1868, to jest od chwili założenia missyi w Mogadorze OO. Franciszkanie, którym missya ta powierzoną została, odwiedzali co kilka miesięcy katolików w Saffi, oddając im rozmaite duchowne posługi. Później jednak O. Józef Lerchundi, prefekt apostolski tych missyj, widząc, że kolonia katolicka w Saffi coraz bardziej wzrasta, młodzież zaś nie może dostatecznie oświecać się w wierze, uznał za właściwie wysłać do tego miasta dwóch missyonarzy z Mogadoru. Missyonarze ci otrzymali rozkaz wynajęcia tam niewielkiego domu i pozostania w nim aż do chwili, w której coś lepszego da się urządzić. Ogólnie mniemano, że nowa missya niesłychane na swej drodze napotka przeszkody, ponieważ zfanatyzowani Maurowie z właściwą sobie przewrotnością i zaciętością, nie przestają na każdym kroku dokuczać chrześcijanom, a tem bardziej missyonarzom.

Bądź cobądź, czcigodni Ojcowie wbrew wszelkim oczekiwaniom, znaleźli w Saffi człowieka, który z prawdziwie chrześcijańską gorliwością i uprzejmością dopomógł im do wywiązania się należycie z powierzonego sobie zadania. Człowiekiem tym był pewien zacny kupiec angielski Józef Butler, któremu missyonarze zawdzięczają niezaprzeczenie to, że pomimo wszelkich trudności i przeszkód zdołali się utrzymać na nowem stanowisku.

Pierwszem jego staraniem było wyszukanie niewielkiego domku, w którym nowo przybyli kapłani Maryan Ferrez i Anzelm Gonzales, mogliby nietylko mieszkać, ale też urządzić malutką kapliczkę dla odprawiania Mszy świętej. Niestety, dom ten należał do pewnego żyda, który dowiedziawszy się, że jego lokatorowie są katolickimi missyonarzami, zaczął im wyrządzać najrozmaitsze przykrości, a wreszcie wypowiedział mieszkanie. Biedni więc Ojcowie sądzili, że lada chwila będą musieli opuścić Saffi z powodu braku jakiegokolwiek schronienia, ale nareszcie po długich negocyacyach udało się O. Gonzalezowi trafić do przekonania fanatycznego żyda, który się zadowolnił podwyższeniem dotychczasowego komornego.

Wówczas właśnie przybył do Saffi wiceprefekt missyj marokańskich O. Józef Marya Rodriguez, cieszący się w całym kraju niezwykłym szacuunkiem i popularnością. Widząc w jak okropnem położeniu znajdują się missyonarze, polecił on niezwłocznie kilku gorliwym katolikom wynaleść kawał gruntu, któryby można nabyć dla zbudowania na nim stacyi missyjnej.

Po wielu poszukiwaniach i kłopotach, kupiono wreszcie dwa domki, chylące się już całkowicie ku upadkowi, ale zbudowane na gruncie, nadającym się wybornie do zamierzonego celu. Natychmiast też zabrano się do pracy, ponieważ zaś muzułmanie nie chcieli pracować pod kierunkiem nienawistnych sobie *frailes* czyli zakonników, musiano więc sprowadzić z Hiszpanii pewną ilość cieśli i murarzy. Słusznie też powiada przysłowie, że niema złego coby na dobre nie wyszło, gdyż rzemieślnicy hiszpańscy daleko prędzej niż się spodziewano, zbudowali nietylko rezydencyę missyjną, ale nawet bardzo ładny, choć nie wielki kościółek.

Terrytoryum nowej missyi leży w najbardziej zaludnionej dzielnicy miasta Saffi, jedna zaś jego strona wychodzi na główną ulicę El Soko. Pomimo wielkiej prostoty i braku wszelkich ozdób, klasztorek franciszkański tak elegancko się przedstawia, że kierownikowi prac, O. Józefowi Rodriguez, słuszna należy się pochwała.

Kościół wzniesiony pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia, ma 15 metrów długości, 5 szerokości i 8 wewnętrznej wysokości. Chociaż więc na pierwszy rzut oka zanadto wydaje się szczupłym, może jednak pomieścić wybornie około stu katolików, mieszkających w Saffie. Po nad drzwiami świątyni mieści się chór, połączony z galeryą klasztorną za pośrednictwem niewielkiego kurytarza. Główną ozdobę ubogiego kościółka, stanowią trzy ołtarze, z których jeden zawiera piękny obraz Niepokalanego Poczęcia, dwa zaś inne ozdobione są obrazami Najśw. Serca Jezusowego i św. Józefa. Przedewszystkiem jednak uwagę pobożnych zwraca na siebie wspaniały olejny obraz, przedstawiający św. Berarda i jego towarzyszy umęczonych za wiarę świętą w Marokko, a to tem bardziej, że missya w Saffie pod wezwaniem tego Świętego założoną została. Wszyscy też jednogłośnie się zgadzają, że nowa rezydencya missyjna jest jednę z najlepszych i najpiękniejszych na całej przestrzeni marokańskiego terrytoryum. Należy bowiem wiedzieć, iż wielu missyonarzy mieszka tam w tak nędznych lepiankach, o jakich w Europie nie mają nawet pojęcia.

Na tem większe więc uznanie zasługuje poświęcenie i zaparcie się siebie nieustraszonych apostolskich pracowników, którzy nie chcąc opuścić swych wiernych, skazują siebie dobrowolnie na tysiące niewygód, cierpień i przykrości.